Wypożyczalnia periodyków
Miejskiej wypożyczalni książe
dla dorosłych
do 20. VI 1948 r.

Cena 25 zł.

KUŹNICA

Rok IV Łódź, 20 czerwca 1948 r. Nr 25 (146)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Wielkie dzieło odrodzenia naszej ojczyzny nie dopełni się zaprawdę bez nowych ofiar i wysileń, ale się dopełnić musi.

„Demokrata Polski"

TREŚĆ NUMERU:

STANISŁAW ŚRENIOWSKI — **ROK 1848 I SPRAWA ZJEDNOCZENIA NIEMIEC**

PAUL ELUARD — **W WARSZAWIE MIEŚCIE FANTASTYCZNYM**

LEON GOMOLICKI — **U PODSTAW REALIZMU ROSYJSKIEGO (II)**

ANNA KAMIEŃSKA — **DROGI KULTURY NA WSI**

JERZY WYSZOMIRSKI — **CHOROBA I ŚMIERĆ MICKIEWICZA**

JERZY PYTLAKOWSKI — **PASEK**

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI — **KIEDY PROFESOR PRZESTAJE BYĆ FORMALISTĄ**

ADOLF SOWIŃSKI — **PAMIĘTNIKI BENWENUTA CELLINI'EGO**

JOHN STEINBECK — **NOTATKI Z PODRÓŻY PO ZW. RADZIECKIM**

LEON PASTERNAK — **HYMN FANATYCZNY**

MARIUSZ MARGAL **PARYSKI MAJ 1948**

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

STANISŁAW ŚRENIOWSKI

ROK 1848 I SPRAWA ZJEDNOCZENIA NIEMIEC *)

„Pragnę złożyć uroczyste oświadczenie, że żadna siła na ziemi nie potrafi mnie zmusić do zmiany naturalnego i przez swą wewnętrzną prawdę potężnego związku między panującym a narodem — na stosunek umowny, konstytucyjny, i że ani teraz ani nigdy nie zgodzę się na to, aby pomiędzy Pana Boga w Niebiosach a ten kraj wdarła się „zapisana karta" niby druga Opatrzność i aby rządziła nami swoimi paragrafami znosząc dawne święte Zaufanie."

Z mowy tronowej Fryderyka Wilhelma IV na otwarcie sejmu pruskiego w 1847 r.

Wstęp

1.

ROK 1848 WE FRANCJI, Rewolucja Lutowa Paryska — to ogniwo w tym szeregu historycznym, który zaczął się rokiem 1789, Wielką Rewolucją, w którym kolejnym ogniwem miał być rok 1830, rewolucja lipcowa, a ogniwem ostatnim rok 1870/1, komuna paryska. Wielka rewolucja likwidowała ustrój feudalny we Francji, otwierając tym wolne drogi nowemu ustrojowi, kapitalistycznemu; była rewolucją mieszczańską, oddawała władzę polityczną burżuazji — stosownie do pozycji jaką zyskała ona w gospodarce narodowej. W rewolucjach 1830, 1848, 1870/1 odnosiła ostateczne zwycięstwo ta sama klasa — ale w dwóch ostatnich już nie przeciwko arystokracji, lecz przeciwko proletariatowi, dla którego idea republiki przedstawiała zupełnie inne perspektywy niż dla burżuazji, perspektywy wyjścia z ustroju kapitalistycznego.

Republika i demokracja otrzymywały dwojakie znaczenie: liberalne — przy którym reprezentacja ludowa należała do klas silnych gospodarczo, i proletariacko-ludowe — przeciwstawiające tym klasom sprawę mas ludowych. Republika i demokracja — hasła przeciwko ustrojowi feudalnemu, autokratyzmowi monarszemu, broń rewolucyjnego mieszczaństwa — stawały się hasłami przeciwko rządom mieszczaństwa, przeciwko nowym formom nierówności społecznej, hasłem rewolucyjnego proletariatu.

Wiek XIX, wspaniały rozwój przemysłu we Francji i eksploatacji kapitalistycznej kolonii francuskich przez kraj macierzysty — z czego zyskiwały, choć w bardzo różnym stopniu, wszystkie klasy społeczne — dawał niezawodną szansę zwycięstwa republice burżuacyjnej i demokracji liberalnej we Francji.

Zupełnie inaczej przedstawiały się sprawy w Niemczech. Rok 1848, rewolucje marcowe w Berlinie i we Wiedniu nie dadzą się umieścić w analogicznym szeregu ogniw rewolucyjnych, nie zostały poprzedzone zburzeniem ustroju feudalnego, nie dokonywały się w epoce w której mieszczaństwo zdobyło już władzę, nie udało im się też zlikwidować podstawowych elementów struktury feudalnej, nie stanowiły one zwycięstwa burżuazji.

Rok 1848 w Niemczech należy umieścić na zetknięciu dwóch bardzo różnych ciągów historycznych: rodzimego, niemieckiego — rozwoju organizacji cesarstwa niemieckiego, formacji par excellence średniowiecznej, feudalnej — gospodarczo i politycznie — i zachodnio europejskiego ciągu rewolucyjnego: wpływów paryskich rewolucji — Wielkiej, Lipcowej, Lutowej, i formowania się od podbojów napoleońskich struktury gospodarki kapitalistycznej, zwłaszcza w zachodnich i południowych krajach niemieckich.

Rewolucje 1848 roku miały w Niemczech charakter rewolucji mieszczańskich przeciwko feudalizmowi; rezultat lat 1848/9 to zwycięstwo monarchii feudalnej i... kapitalizmu — przeciwko masom ludowym; to pierwsze ogniwo konstrukcyjne w szeregu historycznym od średniowiecznego cesarstwa niemieckiego do cesarstwa niemieckiego nowożytnego. Rok 1806: rok rozwiązania tamtego cesarstwa, następstwo rewolucji francuskiej i cesarstwa napoleońskiego; rok 1848 — nieudana próba utworzenia zjednoczonego narodowego królestwa niemieckiego, idea liberalno-konstytucyjna; rok 1871, bismarkowska realicja zjednoczenia: cesarstwo niemieckie z królem pruskim na czele.

Ustrój feudalny znalazł się w niebezpieczeństwie w 1848 roku, wiele urządzeń feudalnych musiało zniknąć wskutek zabiegów centralistycznych od 1871 począwszy. Burżuazja niemiecka dochodziła do głosu, ale w sojuszu z arystokracją ziemiańską. Monarchia była ubezpieczeniem politycznym obu tych współpracujących ze sobą klas. Pruska droga rozwoju społeczno-politycznego nie miała na sobie piętna rewolucji. Była ona odpowiedzią na rewolucję, miała za zadanie chronić przed rewolucją.

2.

We Francji rewolucje były przede wszystkim rewolucjami socjalnymi, centralistyczna organizacja aparatu rządowego — wynik Wielkiej Rewolucji, nie stanowiła przewodniej idei rewolucji, jakkolwiek była wyrazem teorii politycznej nowych klas i realizowała warunki odpowiadające ich aspiracjom rozwojowym. Francuskie rewolucje socjalne dokonywały się w zamkniętym ustroju państwowym. Francja XVIII wieku była już państwem organizacyjnie spójnym, absolutyzm monarszy wiązał terytorium narodowo-jednolite, przestrzennie zwarte.

Zupełnie inaczej było w Niemczech.

Dawna średniowieczna organizacja polityczna, ostatni symbol jedności: godność cesarzą niemieckiego jako teoretycznego zwierzchnika wszystkich krajów niemieckich (w średniowieczu — wszystkich władców chrześcijańskich — katolickich) przestały istnieć od 1806 r. W czasie wielkiej rewolucji francuskiej nominalne już tylko cesarstwo niemieckie (oficjalnie: Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego) składało się z kilkuset niezależnych państewek rządzonych przez feudalne dwory dziedzicznych książąt reprezentujących interesy feudalnej arystokracji ziemiańskiej i bogatego patrycjatu stołecznych miast. Traktatami w Bazylei, Leoben, Campo-Formio i Lunewille (1795, 1797, 1801) zmuszone były Prusy i Austria uznać zabory rewolucyjnej Francji na lewym brzegu Renu, a zapłatą za te straty miały się stać aneksje niektórych drobnych państewek na zachód od Renu przez większe państwa niemieckie. Ponad 100 państewek zostało wchłoniętych przez inne, powiększając ich terytorium i znaczenie.

Odpowiedzią na ogłoszenie się przez Napoleona cesarzem Francuzów było przyjęcie w tym samym roku 1804 tytułu cesarskiego dla austriackiego domu Habsburgów przez Franciszka II (ówczesnego cesarza rzymskiego narodu niemieckiego), w roku następnym 3 większe państwa niemieckie w sojuszu z Napoleonem przeciwko Austrii, Bawaria, Wirtenbergia i Badenia zyskały tytuł królestw; w 1806 powołał Napoleon do życia sprzymierzony z Francją Związek państw reńskich pod swoim protektoratem, obejmujący zachodnie i południowe państwa niemieckie — a więc poza Prusami i Austrią — i wyłączając je wszystkie z organizacji cesarstwa niemieckiego. Franciszek II złożył wobec tego godność cesarza, cesarstwo przestało istnieć.

Kongres Wiedeński w 1815 r. restytuując pod hasłem legitymizmu stosunki z doby przednapoleońskiej i prawa byłych dynastii panujących, przecież nie powrócił ani do dawnej cyfry państewek niemieckich, ani do organizacji cesarstwa niemieckiego. Z trzydziestu kilku państw utworzony został Związek Niemiecki (Deutscher Bund) kierowany przez sejm związkowy we Frankfurcie nad Menem, złożony z delegatów rządów związkowych. Przewodnictwo tego związku państw niemieckich oddano Austrii.

Poza Związkiem pozostały nieniemieckie części Austrii i Prus — jako niewchodzące w skład dawnego cesarstwa niemieckiego, przede wszystkim więc ziemie polskie i Węgry.

Okres 1815—1848 w Niemczech przenikały dwa główne nurty: rywalizacja Austrii i Prus, rozbijająca Związek, oraz mająca uzasadnienie gospodarcze i polityczne tendencja do ściślejszego zjednoczenia krajów niemieckich.

Posiadłości habsburskie składały się z kilku zasadniczych części o bardzo różnej historii. Austria, Czechy, Węgry, Galicja — to kraje nabyte przez dom Habsburski w różnych czasach i w różny sposób rządzone. Dążnością dynastii było przerobić ten konglomerat ziem i narodów w jedno zwarte organizacyjnie państwo, a nazwa cesarstwa austriackiego i godność dziedzicznego cesarza Austrii miały być zarówno jednym z czynników cementujących to pstre państwo Habsburgów, jak i wynosić je w hierarchii ponad inne państwa niemieckie, przede wszystkim ponad królestwo pruskie.

Inne czynniki głównie działały w państwie pruskim. Składało się ono z terytoriów rozdzielonych przez inne państwa niemieckie i znalezienie sposobu powiązania ich wszystkich i spojenia w organizm możliwie jednolity stawało się zadaniem pierwszoplanowym zarówno ze względu na mocarstwowe ambicje Prus w Związku Niemieckim jak i ze względu na ich politykę wschodnią.

Sprawą najpilniejszą było gospodarcze zbliżenie różnych części Prus, posiadających na wschodzie i zachodzie zupełnie odmienną strukturę ekonomiczną. Feudalizm agrarny, arystokracja ziemiańska, folwark i poddaństwo chłopów na wschodzie — a po uwłaszczeniu typowa klasa społeczna: junkrów; na zachodzie, na ziemiach nadreńskich silne ośrodki miejskie, handlowe i przemysłowe, gospodarka kapitalistyczna, zanik zależności poddańczych, burżuazja z jednej, a robotnik najemny, proletariat z drugiej strony.

W 1818 utworzony został łączny obszar celny pruski, zniesiono granice celne między poszczególnymi prowincjami, poczem przyszła kolej na układy z państwami rozdzielającymi terytorium Prus. Potrzeba unii celnych stawała się w rozwiniętych gospodarczo zachodnich i południowych Niemczech powszechną. Bawaria zawarła unię celną z Wirtenbergią, Turyngia z Saksonią i Hesją („Środkowo Niemiecki Związek Handlowy"), następnie utworzono z tych wszystkich trzech obszarów celnych jeden Związek celny i handlowy, do którego przyłączyły się kolejno Badenia, Brunszwik i inne. Całe prawie Niemcy, prócz Austrii, zyskały w ten sposób warunki do gospodarczego zjednoczenia. Akcja ta wypełniła drugi i trzeci dziesiątek XIX wieku.

Ale porozumienie celne — wyraz silnych potrzeb życia gospodarczego, którym uczynić zadość uznały za konieczne rządy państw, czujnie strzegące z reguły wszelkiej politycznej niezależności i odrębności — porozumienie celne z punktu rozwojowych tendencji gospodarki kapitalistycznej przedstawiało zaledwie pierwszy etap

*) Fragment pracy pt. „Niemieckie problemy ustrojowe", która ukaże się w zbiorowym wydawnictwie „Wiosna Ludów", Państw. Inst. Wyd.

PAUL ELUARD — Przełożył Adolf Sowiński

W WARSZAWIE MIEŚCIE FANTASTYCZNYM

Kto ruin Getta nie widział ten nie wie
Co przeznaczone jest dla jego ciała
Gdy śmierć je przyjmie gdy serce zbutwieje
Gdy próżnię stworzy sama nieobecność

A ten kto widział już ruiny Getta
Wie że odrobić można ludzkie czyny
Wszystko przemienić by śmierć nie wróciła
bo śmierć zwyciężysz to tylko pustynia

Tu właśnie potwór ukazuje twarz
Z pychą że wyszedł wprost z serca ludzkiego
Z serca człowieka zepsutego w pętach
Tak że nie widzi jasno i nie myśli

Getto umarło jego cień skrył potwór
Lecz męstwo poszło ze wspólnej miłości
Miłości przeszłej która zrodzi przyszłą
Kwiat się zawiązał ze świąt i korzeni

A pod opadłym niebem nad Warszawą
Długa udręka i sławne cierpienie
Ginąc wznawiają marzenie o szczęściu
Nadzieja tęczę z gościńców układa

Człowiek spod ziemi dał miejsce żywemu.

drogi ku koniecznemu zjednoczeniu, było tym minimum zmian, które można było zrealizować w systemie feudalnego rozdrobnienia międzynarodowego Niemiec. Na kolejne dziesięciolecie przypadły próby głębszych, efektywniejszych przemian politycznych.

3.

Dwa wielkie, wobec siebie niezależne, w sobie zamknięte obszary gospodarcze: cesarstwo austriackie — zamknięta organizacja polityczna, i związek celny niemiecki — wielu państw, jakby gospodarcza restytucja politycznego związku reńskiego — to połacie Europy o strukturze bardzo różnej. Cesarstwo austriackie, mimo oświeconych reform Marii Teresy i Józefa II, składało się w większości swej z krajów, w których przez całą pierwszą połowę XIX wieku panującą formą gospodarki była produkcja rolna w ramach feudalnego ustroju społecznego. Folwark oparty na przymusowych poddańczych świadczeniach niewolnych chłopów — przedstawiał ciągle jeszcze główną instytucję gospodarczą uzależniającą całokształt życia nie tylko ekonomicznego lecz i politycznego w ogóle.

Inaczej w krajach objętych związkiem celnym. Zachodnie i południowe kraje niemieckie wyszły już z okresu stosunków poddańczych, rozwinięte życie miejskie i uprzemysłowienie czyniło nieprzydatnym ten dawniejszy system społeczny. Wojska francuskie i kodyfikacje napoleońskie rozrywały sieć średniowiecznych zależności, narzucały nowe prawo. Wolność i równość — podstawowe założenia gospodarki kapitalistycznej i istotny warunek jej rozkwitu, wolność gospodarcza i równość — — anonimowość wobec prawa, w transakcjach handlowych i w produkcji — w całym masowym życiu gospodarczym — te hasła wielkiej rewolucji francuskiej, dla ładu feudalnego oznaczające szatański wymysł: anarchię, stawały się zwolna, na przełomie stuleci, realną treścią przetwarzającego się systemu ekonomiki tych właśnie krajów, które miały znaleźć się wkrótce w związku celnym.

Związek celny był wyrazem dojrzewania, wyrastania tych krajów z ciasnego już dla nich ustroju zatomizowanego cesarstwa niemieckiego, którego ciągiem dalszym był der deutsche Bund. Związek celny niemiecki wynikał z prężności nowych sił ekonomicznych — nie feudalnych, otwierał drogę nowym formacjom życia gospodarczego, zapowiadał je, a w dalszej perspektywie musiały być i nowe formy życia politycznego.

Państwo pruskie — zespół krajów rozciągniętych na całej niemieckiej północy — na zachodzie ulegało przemianom społecznym pod wpływem naturalnego rozwoju kapitalizmu oraz oddziaływań zbrojnych i ideologicznych francuskich. W prowincjach wschodnich rząd pruski dokonał reform, których już nie wskazane było odwlekać, znosząc dekretami poddaństwo, zapoczątkowując uwłaszczenie chłopów w domenach państwowych, umożliwiając chłopom — posiadającym większe gospodarstwa wykupno ziemi i powinności — przy czym główną formą zapłaty dla dworów miała stanowić część gruntów chłopskich przyłączonych w ten sposób do ziem folwarcznych (1807—1823).

W Księstwie Poznańskim zasady wolności osobistej i równości wobec prawa datowały się od konstytucji nadanej przez Napoleona Księstwu Warszawskiemu; równoczesny edykt pruski uwalniający chłopów był aktem samoobrony tego państwa — na polu praw socjalnych — przed niebezpieczeństwem francuskim, rząd pruski ustępował wobec obcych feudalizmowi tendencji rozwojowych gospodarki, godził się z koniecznościami socjalnymi, które z nich wynikały, wolał odgórnie przyjąć podstawowe urządzenia kapitalizmu, byle uniknąć rewolucyjnej zagłady, którą straszył szalejący po Europie duch francuski.

Powiększony przez uwłaszczenie folwark, posługujący się już najemną siłą roboczą — przedsiębiorstwo rolne prowadzone na zasadach kapitalistycznych — to nowy element struktury gospodarczej i społecznej w Prusach, włączający je, już całe w krąg tych krajów niemieckich, w których siły kapitału współgrały z formalnie feudalną jeszcze strukturą polityczną.

SPRAWA ZJEDNOCZENIA

4.

Rok 1848 znajdował się pod znakiem następującego problemu głównego: jak się ma dokonać polityczne zjednoczenie Niemiec — gdyż konieczność zjednoczenia bardziej realnego niż je dawał Der Deutsche Bund narzucała się jako konsekwentny etap dalszy po związkach celnych.

Rozwiązania praktycznego — a także i teoretycznego — wymagały takie kwestie:

1) Czy zjednoczenie ma objąć wszystkie kraje dawnego cesarstwa niemieckiego, konkretnie, czy może ogarnąć i Austrię — obszar odmienny gospodarczo, państwo mające cele sprzeczne z ideą zjednoczenia ziem niemieckich, co wyraziło się choćby w akcie utworzenia cesarstwa austriackiego z równoczesnym przekreśleniem tradycji cesarstwa niemieckiego.

2) Czy zjednoczenie ma objąć tylko kraje niemieckie czy też i kraje nie niemieckie wchodzące w skład państw niemieckich, przede wszystkim więc ziemie słowiańskie Austrii i Prus i Węgry.

3) Jak się ma dokonać zjednoczenie, kto go ma dokonać? Czy ma nastąpić na drodze traktatów między rządami państw niemieckich — podobnie jak zawarte zostały układy celne, czy też realna jest inna — a może tylko inna droga zjednoczenia niż powyższa.

4) Jaka ma być treść tego zjednoczenia politycznego, na jakich urządzeniach ma ono polegać i jaką rolę w tym nowym ustroju mają odgrywać siły dawne, przede wszystkim istniejące rządy poszczególnych państw niemieckich, a jakie inne siły — nowe.

Trzeba pamiętać, że w 1848 r. istniał jeszcze, utworzony w 1815 r. sejm związkowy z delegatów rządów poszczególnych państw — centralny organ Związku Niemieckiego. Postanowienia w ważniejszych sprawach wymagały jednomyślności względnie zgody państwa zainteresowanego. Der Deutsche Bund przedstawiał typ związku państw — sprawą przyszłości miało być przejście na typ państwa związkowego jako spójniejszej organizacji politycznej. Stosunki prawa międzynarodowego ustąpiłyby miejsca mocy wewnętrznego prawa państwowego.

5.

Formalna inicjatywa wyszła od liberalnych polityków południowo niemieckich, którzy zebrani w Heidelbergu z początkiem marca 1848 r. postanowili wpłynąć na sejm Związku Niemieckiego, aby zwołał zgromadzenie narodowe o uprawnieniach konstytuanty, które by zajęło się ułożeniem konstytucji dla całych Niemiec. Postanowiono oddziałać na sejm związkowy przy pomocy presji opinii publicznej i wyznaczono datę 30 marca celem zebrania się we Frankfurcie nad Menem tzw. przedwstępnego parlamentu, złożonego z członków przedstawicielstw stanowych poszczególnych państw niemieckich i innych wybitniejszych osobistości, któryby przygotował zwołanie zgromadzenia narodowego.

Ten pierwszy akt w wielkiej sprawie zjednoczenia Niemiec określał drogi, na których oczekiwano osiągnąć zjednoczenie, wskazywał też powiązania między sprawą zjednoczenia Niemiec a sprawami socjalnymi.

Rzucono ideę zjednoczenia się w inny sposób niż w formie porozumienia się rządów państw, w innej formie niż przez traktaty o charakterze międzynarodowym. Zjednoczenie miało nastąpić na drodze ułożenia i postanowienia nowego ustroju zjednoczonego przez ogólnoniemieckie zgromadzenie, inne niż sejm związkowy, nie o charakterze kongresu przedstawicieli rządów, a przez zgromadzenie reprezentujące naród niemiecki. Ta zasada uderzała w konstrukcję polityczną legitymizmu, na straży której stało Święte Przymierze, na której też opierał swój byt Der Deutsche Bund i sejm związkowy.

Zgromadzenie narodowe miało dać Niemcom konstytucję — a to oznaczało, że sprawa zjednoczenia Niemiec związana została z dwiema ideami w zasadzie odrębnymi od niej: z ideą konstytucjonalizmu i ideą liberalizmu.

Jeżeli jednak inicjatywa miała charakter społeczny, jeżeli i w programie silnie zaakcentowany został społeczny aspekt sprawy, jeżeli wreszcie metoda, którą projektowano stanowiła odwołanie się do form społecznej reprezentacji i deklarację co do uprawnień takiej reprezentacji, to skierowanie postulatu zwołania jej pod adresem sejmu związkowego było wyborem drogi legalizmu ku przyszłości, stanowiło deklarację o przyjęciu płaszczyzny praworządności dla rewolucyjnej w treści akcji narodowego zjednoczenia Niemiec. Istniał Związek niemiecki i jego władza, sejm związkowy — przemiany miały się dokonać w oparciu o decyzję tego sejmu. Wejście na drogę reform miało w ten sposób otrzymać akcept ze strony rządów, a zatem punkt wyjścia w ramach tych form ustrojowych, które istniały w Niemczech.

A ustrój ten okazał się trzeźwym partnerem w tej grze o rewolucyjnych perspektywach. Na wniosek jednego z państw południowo-niemieckich, Badenu, państwa posiadającego już od kilkudziesięciu lat nadaną przez panującego konstytucję (1818 r.), sejm związkowy zwrócił się 10.III do rządów państw związkowych z wezwaniem wysłania do Frankfurtu mężów zaufania — po jednym z każdego państwa, mniejsze państewka miały wysłać w kilku jednego, cyfra wszystkich delegatów wynosiła 17 — którzyby wraz z wydziałem sejmu związkowego przygotowali projekt konstytucji niemieckiej. Prowadziło to tylko do podwojenia składu reprezentacji rządowej bez naruszenia organizacji Związku.

30.III sejm związkowy stosownie do postulatów heidelberskich powziął decyzję zwołania parlamentu. Ale równocześnie zebrał się we Frankfurcie i ów przedwstępny parlament — nielegalny organ złożony z wieluset członków sejmów poszczególnych krajów, przeważnie z państw południowo-niemieckich jako posiadających już urządzenia reprezentacyjne. Rekrutował się zatem z osób do przedstawicielstwa uprawnionych przez ustrój tych państw. Ale tym razem mieli oni spełnić zadanie całkiem inne niż oznaczone konstytucyjnie w kraju, mieli reprezentować kraj nazewnątrz i — wyłącznie, mieli zająć się z wszystkich państw niemieckich razem — sprawą o której w dotychczasowym ustroju związku żadnego z państw związkowych nie mogło być mowy.

Ten przedwstępny parlament frankfurcki obradujący od 31.III do 4.IV uchwalił zasady prawa wyborczego do Zgromadzenia Narodowego. Wybory miały być powszechne i tajne, zgromadzenie miało składać się z posłów wybranych według stosunku: jeden delegat na 50.000 osób. Szczegółowe systemy wyborcze miały być postanowione przez każde państwo z osobna, zastrzeżono jednak, iż nie wprowadzi się ograniczeń cenzusowych, religijnych i stanowych. Nie zagwarantowano jednak bezpośredniości wyborów.

Parlament powołał do życia stały wydział, dla porozumienia się z sejmem związkowym i rządami państw związkowych.

Zasady uchwalone przez przedparlament zostały przyjęte zarówno przez sejm związkowy jak i przez rządy poszczególnych państw związkowych. Wybory przeprowadzono.

Zasady prawa wyborczego postanowione we Frankfurcie pozostawiały państwom związkowym dosyć swobody, aby ordynacje wyborcze zabezpieczyły interes klas rządzących. Służył do tego przede wszystkim system wyborów pośrednich.

c. d. n.

Stanisław Śreniowski

LEON GOMOLICKI

U PODSTAW REALIZMU ROSYJSKIEGO (II)

3.

Nie mogę powtórzyć za biografami Bielinskiego zdania o jego życiu płonnym i ubogim w wydarzenia. Przeciwnie, uważam że rzadko można spotkać żywot tak urozmaicony, tak bogaty i zarazem tak charakterystyczny dla swojej epoki. Należy tylko wziąć pod uwagę, że życie Bielinskiego miało swój istotny przebieg w płaszczyźnie wartości i wydarzeń nieco odmiennych od tych, które zwykliśmy uważać za fakty biograficzne. Wielkość Bielinskiego jako zjawiska w historii literatury polegała na tym, że nie tylko wskazał on drogi rozwoju realizmu rosyjskiego, lecz żyjąc w okresie powstawania krytycznej myśli rosyjskiej, zawsze zjawiał się w „punktach topograficznych" jej rozwoju. Był on jakby wcieleniem jej dialektyki historycznej.

Pierwszy artykuł Bielinskiego ukazał się w roku 1834 w dodatku do „Teleskopu", który był wydawany z podtytułem „mody i nowości". Była to wielka rozprawa zatytułowana romantycznie „Marzenia literackie (elegia w prozie)", ale w istocie godząca w podwaliny romantyzmu rosyjskiego. Ustalając podstawy estetyki, w pewnym stopniu pokrywającej się wówczas z estetyką schellingowską Mochnackiego, Bielinski w systematycznym przeglądzie faktów z historii literatury rosyjskiej stwierdzał, że są to dotychczas luźne i przypadkowe fakty, ponieważ nie spełniają zadania sztuki jako wyrazu ducha narodowego. Stąd paradoksalny wywód: literatura rosyjska nie istnieje. Jako motto do swego artykułu obrał Bielinski cytat z „barona Brambeusa" — Sękowskiego: „Czy macie dobre książki? — Nie, nie mamy, ale zato mamy wielkich pisarzy. — Więc przynajmniej macie piśmiennictwo? — Przeciwnie, mamy za to handel książkami."

Artykuł, do którego nie przywiązywano wielkiego znaczenia skoro został umieszczony obok przeglądu ciekawostek mody i życia, niespodziewanie stał się sensacją dnia. Czytelnik przyzwyczajony do krytyki przyczynkowej lub filozofii romantycznej zastosowanej do gotowych zjawisk literatury, po raz pierwszy spotkał się z próbą systemu poetyckiego, postawionego jako aksiomat estetyczny, jako kamień probierczy. W świetle tego systemu padały dotychczasowe bożyszcza, występowały dobitnie wady i usterki tam, gdzie dotychczas doszukiwano się prądów i szczytowych osiągnięć literackich. Ale była to tylko pierwsza rozgrywka. Każdy następny artykuł Bielinskiego był nowym ciosem, obalającym wczorajsze pozycje romantyzmu. Była to wielka czystka stajni Augiasza, której z całą namiętnością i zdecydowaną odwagą podjął się młody krytyk sprowadzając na swoją głowę pioruny dawnych zoilów i sybill krytycznych.

W „Teleskopie" objawił się „wściekły pies", którego Nadieżdin spuszczał ze smyczy, aby szczuć swoich wrogów dziennikarskich. Był to „niedouczony student" pewnie jak i jego pan, z seminarzystów. Z taką mniej więcej odpowiedzią spotkał się namiętny sąd Bielinskiego. Tymczasem ten „samouk" z raznoczyńców trząsł gmachem literatury rosyjskiej, obalając dawne i tworząc nowe kryteria i autorytety. Z czasem sąd jego zaczął przekraczać sprawy estetyki i targnął się na zjawiska społeczne. Stało się to wówczas, kiedy od źle pojętej z początku filozofii Hegla, przeniósł się młody krytyk na stanowisko dialektyki heglowskiej. Odtąd zaczyna się zbliżenie Bielinskiego do pozycyj socjalizmu, który to proces zakończył się przyjęciem materializmu Feuerbacha. Ewolucji tej towarzyszyło pogłębienie krytyki romantyzmu i powstanie zasad realizmu krytycznego.

„Bielinski razem z jednostronnym ujęciem Hegla wcale nie porzucił jego filozofii, — pisze Herzen. — Przeciwnie, stąd właśnie bierze początek jego żywe, trafne, swoiste połączenie idei filozoficznych z rewolucyjnymi. Uważam Bielinskiego za jednego z najwybitniejszych ludzi okresu mikołajewskiego. Po liberalizmie, który jako tako przeżył w osobie Polewoja rok 1825, po posępnej rozprawie Czaadajewa, zjawia się zdobyte cierpieniem, zjadliwe przeczenie i namiętne wkraczanie we wszystkie kwestie Bielinskiego. W szeregu artykułów krytycznych stosownie czy niestosownie pisze o wszystkim, zawsze wierny swej nienawiści do autorytetów, nieraz wznosząc się do zapału poetyckiego. Książka recenzowana najczęściej służyła mu jako konkretny punkt wyjścia, w połowie drogi porzucał ją i wgryzał się w jakieś zagadnienie... Jakaż to była wierność swoim zasadom, jaka odważna konsekwencja, jaka umiejętność w omijaniu podwodnych raf cenzury, jaka śmiałość w atakach na arystokrację literacką, na pisarzy pierwszych trzech klas, na generalnych sekretarzy literatury, zawsze gotowych uderzyć przeciwnika nie kijem to pałką: nie odpowiedzią krytyczną — to donosem. Bielinski chłostał ich bezlitośnie, godząc w drobne ambicyjki pruderyjnych, ograniczonych twórców sielanek, miłośników oświaty, dobroczynności i sentymentalizmu; wystawiał na pośmiewisko ich zatajone myśli, ich poetyckie marzenia, kwitnące pod siwizną, ich naiwność, przysłoniętą wstążką orderu św. Anny. I jakże oni za to nienawidzili krytyka! Artykułów Bielinskiego oczekiwała w napięciu młodzież w Moskwie i Petersburgu poczynając od 25-go każdego miesiąca. Po pięć razy wstępowali studenci do kawiarni, aby zapytać się, czy już są miesięczniki. Ciężki numer wyrywano sobie z rąk z pytaniem: „Czy jest artykuł Bielinskiego?" — „Jest", — i artykuł pochłaniano z gorączkową sympatią, ze śmiechem, wśród debat... i znikały trzy — cztery wierzenia, autorytety „jak by ich w ogóle nie było".

Pierwszym faktem twórczego spotkania Bielinskiego z rzeczywistością była doszczętna rewizja feodalnego oderwanego romantyzmu, który kwitł w różnych postaciach na podatnej glebie wstecznictwa ustroju pańszczyźnianego. Właśnie w czasie wystąpienia krytyka na arenie literackiej wzmógł się podskórny proces kapitalizacji, który zaczął poważnie zagrażać absolutyzmowi obecnie z pozycyj już nie drobnej szlachty o tradycjach feodalizmu, lecz z pozycyj demokratycznych. Ale Parnas rosyjski był obsadzony przez ludzi, którzy w większości nie zdawali sobie sprawy z przemian zachodzących w społeczeństwie. Literatura żyła w klimacie cieplarni, żywiąc się retoryką i sztuczną koncepcją niezależnie od zabarwienia politycznego lub spekulatywnego: mogło nim być romantycznie wyolbrzymione couleur local, fantastyka feodalna, lub poprostu oficjalna ideologia państwowa. Utwór literacki był środkiem kariery, albo lekiem na zapomnienie niezgodnej z marzeniem rzeczywistości. Natomiast słusznie zauważył Plechanow w swojej rozprawie o Bielinskim, że już w pierwszych swoich artykułach zajął on obok estetycznych, pozycje społeczne. W tym okresie „zewnętrznej niewoli i wewnętrznego wyzwolenia" (Herzen) Bielinski nadał konkretny kierunek myśli krytycznej. Na początku lat 40-ch tendencja ta znajduje u Bielinskiego już wyraźną wymowę socjalną.

„Same zdolności artystyczne jeszcze daleko nie zaprowadzą artysty,—pisał w 1842 roku, — Talent potrzebuje rozumnej treści, jak ogień potrzebuje oliwy, aby nie zgasnąć. Swoboda twórczości łatwo łączy się ze służeniem dniu dzisiejszemu. Aby mu służyć, nie pomoże zmuszanie się do pisania na aktualne tematy, gwałcenie fantazji. Tu konieczny jest jeden warunek: świadomość, że jesteś obywatelem, synem swego społeczeństwa i swojej epoki; przejęcie się jego dobrem, złączenie swoich dążeń z jego dążeniami. Wreszcie — sympatia, miłość, zdrowe praktyczne uczucie prawdy, która nie kłóci przekonania z działaniem, utworu z życiem."

W pierwszej swojej akcji zwalczania pseudoautorytetów Bielinski rozpoczął od obalenia epigonów romantyzmu w prozie, dramacie i poezji.

Za wzór prozatora stylisty uważany był wówczas Aleksander Bestużew-Marlinski, były dekabrysta, który łatwo wyraził żal i skruchę w swoich zeznaniach na śledztwie. Ze względu na to zastosowano do niego lżejszą karę. Zesłany na Sybir został w 1829 roku przeniesiony do armii działającej na Kaukazie, skąd współpracował swobodnie w prasie stołecznej. Poczynając od roku 1832 zaczęły ukazywać się tomy jego powieści i opowiadań zebranych w 12 książkach. Marlinski nie doczekał się końca tego wydania zabity w 1837 roku w bitwie w pobliżu przylądka Adler. Krytyka lekkomyślnie mianowała Marlinskiego „czołowym prozatorem swych czasów", „twórcą powieści w języku rosyjskim", „czarodziejem stylu". W rzeczywistości Marlinski parodiował Byrona i Wiktora Hugo, potęgując retorykę romantyczną, tworząc sztuczne sceny, niezgodne z charakterystyką postaci dialogi, sytuacje. Historyczną, egzotyczną (Kaukaz), batalistyczną i obyczajową (życie salonów arystokratycznych) tematykę Marlinski poświęcał szablonom romantycznym. Narodowość jego pozbawiona ostrza społecznego zbliżała się do państwowej narodowości oficjalnej i niewątpliwie wpłynęła na dekoracyjny patriotyzm pierwszych walterscottystów rosyjskich: Zagoskina i Łażecznikowa. „Były to jakieś olbrzymie dekoracje, kłopotliwie i byle jak wzniesione przez patriotów, którzy nie znali swojej ojczyzny" (Turgieniew). W tym okresie Marlinski i poeta Bieniediktow, który zastosował do madrygału salonowego ciężką broń retoryki klasycznej (niedawną broń poetów dekabrystów w liryce społecznej) całkowicie przesłonili sobą przygasającą sławę Puszkina. Byli to najbardziej poczytni pisarze. Popularność ich wskazywała na dezorientację, panującą w społeczeństwie szlachecko - mieszczańskim, którego część straciła, a druga część jeszcze nie zdobyła gustu artystycznego. Scenę dramatyczną okupował Kukolnik, którego Sękowski nie nazywał inaczej jak „wielkim" i który nie znał poczucia miary i rzeczywistości w swoich tragediach i melodramatach pseudohistorycznych. Na jego wzór napisał i Mikołaj Polewoj swój późny dramat „Abbadona".

Hegemonia tego rodzaju literatury miała dopitny sens aspołeczny, sprzyjała przede wszystkim reakcji i wstecznictwu. Bohater powieści Marlinskiego pozujący na postać bajroniczną, stworzył w życiu typ przedwcześnie zestarzałego młodzieńca, w którym pustka moralna występowała pod pozorem w burzach wygasłych namiętności. „Marlinski, — pisał Turgieniew, — nie tylko cieszył się sławą czołowego pisarza rosyjskiego; do pewnego stopnia wycisnął on swoje piętno na współczesne mu pokolenie... Bohaterów à la Marlinski można było spotkać wszędzie, zwłaszcza na prowincji i osobliwie wśród oficerów piechoty i artylerzystów; oni wysławiali się, korespondowali w jego języku; w towarzystwie zachowywali się posępnie, wstrzemięźliwie — „z burzą w duszy i płomieniem we krwi..." Serca kobiece były „pożerane" przez nich. Nadano im przezwisko: „fatalistów".

Ustalając zdrowe kryteria narodowe i społeczne Bielinski bez litości wyszydził i wykpił fałsz pompatycznego stylu, sztuczność i zakłamanie epigonizmu romantycznego. W polemice tej, która unicestwiła wygórowane wielkości, zostały ustalone mocne pozycje prawdy artystycznej, opartej na rzeczywistości i zgodnej z dialektyką historyczną. W trakcie tej zaciętej walki klarowały się własne poglądy krytyka: w estetykę wrastała etyka społeczna. Krytyka ta stała się jednym z zasadniczych czynników powstania nowej moralności społecznej, której nie mogli stworzyć osłabieni klasowo idealiści-schellingowcy pochodzenia drobno-szlacheckiego. Moralność ich idealizmu romantycznego musiała ulec degeneracji, przyjmując zabarwienie oficjalnego światopoglądu lub marzycielstwa abstrakcyjnego.

Już w tym pierwszym etapie biografii Bielińskiego znaczenie jego w życiu społeczeństwa rosyjskiego przerasta określenie, które mu dał Turgieniew—„rosyjskiego Lessinga". Gonczarow powiedział o nim trafniej: „To nie był wyłącznie krytyk, publicysta lub literat, to był trybun".

4.

Rola krytyki literackiej Bielinskiego nie kończy się na obaleniu potęg pseudoromantyzmu i pseudonarodowości. Ustalił on niezachwiane autorytety w literaturze rosyjskiej i wskazał na kierunek jej postępu z nieomylnością przenikliwego realisty. Można powiedzieć, że nie tylko jej analiza przenikliwa i twórcza, ale cała historia literatury rosyjskiej XIX wieku jest dziełem Bielinskiego. Napróżno wrogowie klasowi i zawodowi usiłowali udowodnić, że artykuły jego są wzorem galimatiasu, antynarodowości, deprawacji moralnej, że targa się on bezpodstawnie na ustalone wartości i że zostanie wkrótce zapomniany przez rozsądne potomstwo. Jeszcze w 1369 roku książę Wiaziemski w liście do Pogodina nazywał Bielinskiego „wstawionym Polewojem" i radził zaprowadzić gruntowną czystkę w literaturze zaczynając od „porąbania" Bielinskiego i Turgieniewa. Były ponadto i później próby obalenia autorytetu Bielinskiego. Krytyka idealistyczna i antymarksistowska nie mogła wybaczyć mu zastosowania metody dialektycznej, „publicystyki" — jak nie raz mawiano, przekładania nad Schellingiem systemu heglowskiego, tej „algebry rewolucji" podług określenia Herzena. Ciosy te zawisły w próżni. Czas tylko udowodnił słuszność sądów genialnego krytyka.

Jako przeciwwagę tego, co z taką namiętnością zwalczał, Bielinski wskazał pierwsze błyski rodzącego się realizmu rosyjskiego, analizując twórczość Puszkina i Lermontowa. Posiadała ona pozytywne i krytyczne wartości. Do pierwszych należały nuty wolnościowe, które Bielinski, nie zważając na rygory cenzuralne, umiał zawsze pokazać. Miał zresztą umiejętnego czytelnika, przyzwyczajonego czytać pomiędzy wierszami.

Schodząc w doły społeczne Puszkin i Lermontow pierwsi zobaczyli „małego człowieka", registratora kolegialnego, pocztmistrza Wyrina i szczerego służbistę kapitana Maksyma Maksymowicza z „Bohatera naszych czasów". Kolcow, syn kupca z Woroneża, pierwszy pokazał w poezji rosyjskiej chłopa w jego życiu codziennym. Wiersze jego aprobował Stankiewicz, sam dokonał wyboru i wydał własnym kosztem w 1836 roku. W tymże roku ukazały się „Rewizor" i „Szynel" Gogola. Nowela „Szynel" poruszała temat „małego człowieka" ale z jakąż surową bezlitością. Obok niej historia Wyrina i Maksyma Maksymowicza zdradzały swoje pokrewieństwo z sentymentalizmem. Dobitne cechy realizmu miała również komedia satyryczna Gogola. Jego poprzednicy w swojej krytyce społeczeństwa zwalczali jeszcze romantyzm, korzystając mimowoli z jego barwnej palety. Aby pokazać istotny sens demaskowanych przez Puszkina bohaterów bajronicznych, Bielinski musiał użyć subtelnej analizy. Realizm krytyczny Gogola był oczywisty, wkraczał do literatury jako siła samoistna. Nie przypadkowo Czernyszewski nazwał cały okres burżuazyjnego realizmu rosyjskiego „okresem Gogola", w którym umieszczał i działalność Bielinskiego. W 1842 roku ukazała się pierwsza część „Martwych dusz".

Powieść ta jest pewną rubieżą w historii literatury rosyjskiej, jak również w biografii krytycznej Bielinskiego. Jeszcze przed zapoznaniem się z „Martwymi duszami" Gogola, Bielinski rozstał się z „szlafmycą filozoficzną", pod którą rozumiał oderwane od życia teorie spekulatywne i doszedł do myśli o „idei zaprzeczenia". Tym straszniejsza wydała mu się rzeczywistość „nierozumna", rzeczywistość Rosji mikołajewskiej, z jej sprzecznościami społecznymi i gospodarczymi, z jej ciemnotą, wyzyskiem i niewolą „nierentownej" pańszczyzny. I właśnie w tym czasie przełomu wewnętrznego redaktor „Otieczestwiennych Zapisok" Krajewski położył przed nim książkę z niesamowitym tytułem. Co to było te „martwe dusze"? Przecież jasne jest, że istotne były nie groteskowe przygody Czyczykowa. Przecież nie dusze chłopów pańszczyźnianych z raportów rewizyjnych tak nazwał autor powieści. Martwe dusze to są rozbitki szlachty ziemiańskiej, zdziczałej w swoim zubożeniu i degeneracji, ale wciąż wstrzymującej jak balast postęp i rozwój narodu. Wprawdzie Gogol w niejasnych aluzjach do niepohamowanego biegu trójki, jako symbolu Rosji mknącej w nieznane, niby wskazywał nadzieję na zmianę w przyszłości. Symbol trójki — Rosji był właśnie przyjęty wówczas jako obietnica wyzwolenia. Gdy Konstanty Aksakow w swojej broszurze „Kilka słów o poemacie Gogola" pełnej retoryki deklamacyjnej, nazwał pisarza rosyjskim Homerem, a „Martwe dusze" przyrównał do eposu narodowego o ogólnoludzkim znaczeniu, Bielinski odpowiedział mu w tonie wstrzemięźliwszym, ale znacznie silniejszym. Podług Bielinskiego „Martwe dusze" stanowiły etap nie tylko w literaturze, lecz w procesie ustalenia się świadomości społecznej. W tym sensie, wyrażając pewien moment w życiu narodu, powieść miała znaczenie ściśle narodowe, a jej autor był poetą socjalnym, tj. piszącym w duchu swoich czasów. Z tego punktu widzenia Bielinski był gotów zdetronizować nawet Puszkina i ogłosić czołowym pisarzem rosyjskim Gogola.

Jak wiemy Gogol pod symbolem trójki rozumiał co innego, ale to wyjaśniło się o cztery lata później, kiedy ukazał się jego „Wybór ustępów z listów do przyjaciół". Niusprawiedliwione nadzieje, które pokładał w Gogolu, Bielinski przeżył jako wstrząs moralny, co odbiło się w jego znakomitej odpowiedzi, w „Liście do Gogola", który był słusznie uznany za akt rewolucyjny. Za rozpowszechnienie i czytanie tego listu chwytano i wysyłano na Sybir. Między innymi oskarżony o publiczne czytanie „Listu do Gogola" został skazany na katorgę Dostojewski. Ale i bez tej stanowczej wypowiedzi podejrzanym wydawało się już samo podkreślenie społecznego znaczenia powieści. Sękowski, Bułharyn i Polewoj (o którym Bielinski mówił: „wpółanalfabeta, kupiec Polewoj popycha społeczeństwo, robi epokę w literaturze, a potem raptem wycofuje się") zorganizowali wszechstronny atak na „Martwe dusze", nazywając powieść „karykaturą napaćkaną węglem i sadzą", „oszczerstwem rzuconym na Rosję", „niechlujnym hotelem, gdzie czytelnik niby przejezdny zmuszony jest spędzić kilka godzin". Obok tych wymyślań prasy prorządowej, które zastanowiły i nastraszyły Gogola, uznanie Bielinskiego było już wtedy wyrazem odwagi cywilnej.

Po ukazaniu się „Martwych dusz" Bielinski nie ponawiał już swego twierdzenia i nie zaprzeczał istnienia literatury w Rosji. W 1843 roku w artykule o Puszkinie pociesza się organicznym rozwojem literatury. W 1847 r. pisze: „Był czas, kiedy pytanie: czy istnieje u nas literatura, nie wydawało się paradoksalnym i wielu odpowiadało na nie przeczaco... Ale jeden z największych sukcesów myśli naszych czasów polega na zrozumieniu, że Rosja ma swoją historię, jak również ma swoją historię i literatura rosyjska".

Przekonał Bielinskiego oczywiście nie tylko Gogol. Czterdzieste lata charakteryzuje w Rosji nagły wzrost prozy realistycznej, do czego niemało przyczyniła się i krytyka Bielinskiego. Bielinski staje się jakby protektorem młodych talentów, przewodnikiem nowego, o dziesięć lat młodszego pokolenia.

5.

Przełomową datą, kiedy została ostatecznie przerwana tama romantyzmu a nurt realistyczny porwał prozę rosyjską, był rok 1845. W roku tym ukazał się pierwszy zbiór szkiców obyczajowych pod tytułem „Fizjologia Petersburga". Było to wskaźnikiem powstawania nowej szkoły, którą wrogowie nazwali naturalistyczną. Tytuł almanachu naśladowano z Zachodu, gdzie w 30—40 latach wydawano po części bezimienne zbiory podobnych szkiców-reportaży połączonych wspólnym tematem. W Rosji kojarzyły się one z twórczością George Sand i Balzaca, o którym Szewyriow pisał, że jest on nieomal narodowym pisarzem rosyjskim ze względu na powszechną znajomość francuzczyzny w społeczeństwie rosyjskim. Nie będę przytaczał tu szczegółów tej znajomości, dość powiedzieć, że popularność Balzaca w Rosji była oparta na szerokiej znajomości jego dzieł w oryginale jak również w licznych przekładach. Osobliwie propagował Balzaca Nadieżdin. Jednego z tłumaczeń, mianowicie „Eugenii Grandet" dokonał początkujący nikomu nieznany autor, młody inżynier Teodor Dostojewski. Podobno praca nad przekładem zachęciła go do napisania pierwszej powieści, impulsem zaś dla niej mógł być przyjazd francuskiego powieściopisarza do Rosji. Jak wiadomo podróż Balzaca nie wypadła szczęśliwie. Brzegi „grande Néva" przyjęły go obojętnie i niegościnnie. Mikołaj wówczas knuł spisek przeciwko Francji, szykując inwazję na Bliskim Wschodzie. Stosunki się psuły; we Francji rozpowszechniano pamflet na Rosję mikołajewską. Balzac właśnie zamierzał napisać sprostowanie, występując w charakterze apologety północnego absolutyzmu, ale rząd rosyjski miał wszelkie podstawy obawiać się nowego wybiegu. Prasa zbyła przyjazd do Petersburga słynnego gościa milczeniem. Dopiero po pięciu dniach jedno z pism umieściło krótką wiadomość. Natomiast nastroje legitymistyczne Balzaca nie ułatwiały stosunków z niepojednaną z ustrojem feodalnym wolnomyślącą częścią pisarzy rosyjskich. Pobyt w stolicy rosyjskiej autora „Komedii ludzkiej", który dopiero co skończył „Stracone Złudzenia", zamienił się na samotne spotkanie z panią Hańską. Balzac przeważnie siedział w mieszkaniu u narzeczonej w „niebieskim salonie z widokiem na Newę" urządzonym z luksusem w stylu rococo. Salon ten znajdował się na innej planecie, mimo że dzieliło go zaledwie kilka ulic od ubogiego pokoju przy pralni, w którym wielki reformator literatury rosyjskiej pisał swoje artykuły.

Jest w tym rozminięciu się dwóch najbardziej jaskrawych indywidualności swej epoki znak czasu, który wybijał inną godzinę dla Francji „królestwa bankierów" i Rosji pańszczyźnianej „martwych dusz" Czyczykowów i Sobakiewiczów. Wówczas gdy Balzac zagłębiał się w analizę sprzeczności, które już zarysowały się wewnątrz wolnego społeczeństwa burżuazyjnego, Bielinski dopiero stał wobec konieczności walki z feodalizmem tamującym swobodny rozwój narodu. Z pozycji ideologicznych, opanowanych przez burżuazję Zachodu, musiał on jeszcze kruszyć kopie w walce z wstecznictwem opóźnionego despotyzmu, łącząc epokę Cervantesa z epoką Goriotów i Lucjanów Rubempré'ów. Tu jesteśmy u źródła zagadnienia przewagi tendencji polityczno - społecznej, tej „publicystyki", która jest tak charakterystyczna dla rosyjskiego realizmu krytycznego.

W 1846 roku Bielinski, który tkwił cały w centrum nowych zjawisk literackich, stał się uczestnikiem dwóch węzłowych wydarzeń w procesie narodzin realizmu.

Już od kilku lat trwała przyjaźń krytyka z Niekrasowem. Niekrasow, który świadomie oderwał się od swego środowiska, był typowym zdeklasowanym szlachcicem. Ojciec jego, zubożały ziemianin, „ponury nieuk", despota rodziny i niewolników - chłopów zamienił swój dom w „jaskinię kochanek pańszczyźnianych i psiarzy". Matka Niekrasowa, która pochodziła z polskiej rodziny szlacheckiej o tradycjach powstaniowych wyszła zamąż wbrew woli rodziców. Cierpliwie znosiła swój los, wychowując syna w zasadach humanitaryzmu. Majątek Niekrasowych leżał w pobliżu słynnej „Włodzimierki" — traktu, którym prowadzono na Sybir zesłańców zakutych w kajdany. Tuż płynęła Wołga. Jej brzegiem burłaki ciągnęli na linach barki naładowane towarem. Strach przed ojcem, tajne rozmowy z matką, brzęk kajdanów katorżników i przejmujące tęsknotą pieśni burłaków złożyły się na pierwsze wrażenia dziecięce przyszłego piewcy niedoli ludu. Ojciec przeznaczał Niekrasowa do kariery wojskowej. A kiedy syn samowolnie zapisał się na uniwersytet, wyrzekł się go i pozbawił wszelkiej pomocy materialnej. Młodzieniec został na bruku peterburskim bez pieniędzy, bez mieszkania i przyjaciół. W kieszeni nosił rękopis powieści i wierszy młodzieńczych, marząc o sławie pisarza. Narazie zarabiał pisząc dla chłopów podania na jarmarku, przepisując role dla artystów. Zaznał w tym krytycznym okresie niesamowitej nędzy, zapoznał się z odwrotną stroną życia stołecznego. Jego droga do literatury nie była podobna do łatwych karier romantyków, którzy, zabezpieczeni przez trud swoich niewolniczych wsi, mogli swobodnie oddawać się marzeniom, biesiadom i poezji. Wiara w obraną przez niego drogę i nieugiętość moralna uratowały Niekrasowa. Pierwszy zeszyt słabych naśladowniczych wierszy pt. „Marzenia i dźwięki" stał się udręką początkującego poety. Niekrasow był bliski załamania się. Otuchy dodawał mu Bielinski, z którym poeta zaprzyjaźnił się w 1842 roku. W długich rozmowach z krytykiem krystalizowały się poglądy Niekrasowa. Później w swoich wierszach nazywał Bielinskiego nauczycielem i schylał głowę przed jego „męczeńskim cieniem".

Almanach „Fizjologia Petersburga" wyszedł dzięki inicjatywie i energii Niekrasowa. Poeta przygotowywał nowy tom zbioru i pokazywał materiał Bielinskiemu. Pewnego wieczoru przyniósł swój nowy wiersz „W drodze". Bielinski słuchał spoglądając spode łba. Nie podobały mu się wiersze Niekrasowa, choć bardzo lubił młodego entuzjastę. Niekrasow wiedząc o tym przystępował do czytania jak do egzekucji. Tym razem Bielinski, który zwykle nie oszczędzał ambicji autorskich, lecz otwarcie i bezlitośnie wypowiadał swoje zdanie, wysłuchawszy wiersza poprosił o powtórzenie. A kiedy poeta skończył, nagle wstał, uścisnął go i ze wzruszeniem zawołał: „Panie! pan jest poetą — i to poetą prawdziwym!"

Poczucie literatury jak zwykle nie zawiodło krytyka. Wiersz Niekrasowa „W drodze" jest przełomowych zjawiskiem w poezji rosyjskiej. Po raz pierwszy porusza on temat przeciwieństw socjalnych, wprowadzając poezję do koła tematyki powieści realistycznej.

Po tym spotkaniu z Bielinskim z mieszkania jego po krętych ciemnych schodach wyszedł na ulicę odrodzony człowiek, który widział przed sobą nową drogę ideowego czynu. Odtąd zaczyna się znany nam poeta Niekrasow, poeta niedoli ludu, rzecznik poniżonych, satyryk, piszący żółcią i krwią. Poeta stojący obok wielkich postaci powieściopisarzy wieku XIX.

W tymże okresie sam Niekrasow odegrał podobną rolę w życiu innego początkującego pisarza. Rękopis nieznanego autora przyniósł Grigorowicz, z którym Niekrasow redagował almanach petersburski. Nazwisko Dostojewskiego nie mówiło nic obydwu pisarzom. Przystąpili do czytania podług recepty Bielinskiego: czy wytrzymają pierwsze dziesięć stron. Przeczytali jednym tchem cały rękopis. Nie zważając na to, że była już czwarta w nocy, Niekrasow wybiegł, aby odszukać autora i oznajmić mu, że jest wielkim pisarzem. Ledwie doczekawszy się ranka udał się do Bielinskiego, któremu krzyknął już z progu: „Nowy Gogol nam się objawił". Bielinski wziął rękopis i czytał, a Niekrasow nerwowo krążył po pokoju oczekując efektu. Efekt nastąpił już po pierwszych stronach. Bielinski zaczął na głos cytować tekst, nie powstrzymując wyrazów zachwytu. Zażądał żeby przyprowadzono do niego autora. Kiedy Dostojewski wszedł za Niekrasowem do pokoju krytyka, ten jak zwykle nie pohamowany w swoich odruchach przywitał go wołając: „Ale czy pan sam rozumie, co pan napisał? Pan jako artysta mógł to napisać samym bezpośrednim uczuciem, ale czy rozumie pan tę całą straszną prawdę, którą pan wskazuje?..." Tej chwili Dostojewski nigdy nie zapomniał. „Nawet na katordze — mówił — wspominałem ją i pokrzepiałem się nią na duchu".

6.

Obóz artykułów Bielinskiego i Iskandera (Herzena), poematu i opowiadania początkującego poety Iwana Turgieniewa wiersz „W drodze" i powieść Dostojewskiego „Biedni ludzie" złożyły się na zawartość drugiego z kolei almanachu, który ukazał się w roku 1846 pod nazwą „Zbioru petersburskiego". Główną część recenzji o tym zbiorze Bielinski poświęcił Dostojewskiemu. Jednocześnie Dostojewski umieścił w lutowej książce „Otieczestwiennych Zapisok" drugą swoją powieść „Sobowtór". Obydwa utwory przypominały istotnie Gogola, ale wyglądały raczej na twórcze zmaganie się z autorem „Szynela". W „Biednych ludziach" Dostojewski nawet otwarcie wskazywał na „Szynel" i polemizował z „bezlitosnym" stosunkiem Gogola do małego człowieka. Tę właśnie cechę humanizmu, którego zadaniem było udowodnić prawo do życia uciskanych warstw społeczeństwa, wyróżnił w twórczości młodego Dostojewskiego Bielinski. „Honor i sława są udziałem młodego poety, którego muza lubi ludzi na poddaszach i w suterynach, i mówi o nich mieszkańcom pozłacanych salonów: przecież to są również ludzie, bracia wasi!" Nawet tam, gdzie miłość „okrutnej muzy" Dostojewskiego przekraczała granice szlachetnej nędzy i przerzucała się na wykolejeńców, wyrzutków społeczeństwa — popierał ją krytyk, jako przejaw protestu przeciwko niesprawiedliwości socjalnej. „Proszę zwrócić uwagę na staruszka Pokrowskiego, aby zrozumieć myśl humanistyczną autora — pisał Bielinski o jednej z postaci powieści. — Fikcyjny mąż uwiedzionej i skrzywdzonej kobiety, potem maltretowany małżonek złośliwej baby, błazen i pijanica — on również jest człowiekiem! Możecie kpić z jego miłości do mniemanego syna, która przypomina nieśmiałą miłość psa do człowieka, ale nawet przez śmiech czujecie głęboki jej tragizm. Jeżeli zaś obraz Pokrowskiego, który z książkami pod pachą, bez czapki na głowie, w deszcz i mróz biegnie za trumną śmiesznie kochanego przez siebie syna, nie pozostawi w was głęboko tragicznego wrażenia, nic zwierzajcie się z tym — proszę — nikomu, aby jakiś inny Po-

krowski, błazen i pijanica nie zarumienił się za was, jako za człowieka..."

Patologiczny temat „Sobowtóra", polemizującego również z Gogolem, tym razem z nowelą „Nos" i „Notatki wariata", również zwrócił szczególną uwagę Bielińskiego. Jako akcent tendencji społecznych Bielinskiego przewijał się między wierszami artykułu motyw surowego sądu o rzeczywistości ówczesnej. „Przejdą jeszcze dwa wieki — pisał on nieco dalej z okazji tłumaczenia „Makbeta" umieszczanego również w almanachu — a może i mniej a już będą dziwić się barbarzyństwu XIX wieku, jak obecnie dziwimy się barbarzyństwu wieku XVI; nie znajdą w nim Szekspira, lecz znajdą Byrona i George Sand".

Artykuł Iskandera, który w tym czasie wystąpił z pierwszą powieścią pt. „Czyja wina?", mówił również o zstąpieniu do powszedniego życia, do podwalin piramidy społecznej. Radził zastosować mikroskop do spraw prywatnych człowieka, aby wykryć nici pajęczyny, która „krępuje silne charaktery", obezwładnia zdolności i szlachetne zamiary. Pisał: — „Kiedy błądzę po ulicach, zwłaszcza późnym wieczorem... ogarnia mnie strach. Za każdą ścianą widzę dramat gorące łzy, o których nikt nie wie, łzy nieurzeczywistnionych nadziei, z którymi niknie nie tylko wiara w młodość, lecz wiara ludzka a zarazem i życie. Oczywiście są domy, gdzie spokojnie jedzą i piją w dzień, tyją i śpią w nocy, ale nawet w takim domu znajdzie się jakaś siostrzenica uciskana i krzywdzona, lub chociażby pokojówka lub dozorca, którym życie wydaje się nader gorzkie".

Obok tych nowych zagadnień kwestia degeneracji ziemiaństwa wydała się Belinskiemu mniej znaczącą, bo tylko pobieżnie wspomina o poemacie Iwana Turgieniewa „Ziemianin", a jego opowiadanie „Trzy portrety" określa jako „wspomnienie o dobrych starych czasach". Wkrótce jednak wstąpił krytyk w koło żywych tematów, dotyczących obalenia pańszczyzny. Głównym bojownikiem w tej nowo ogłoszonej walce stał się właśnie Turgieniew, który przerzucił się na prozę i rozpoczął cykl swoich „Notatek myśliwego". Bielinski widział jak rzucone przez niego tezy przetwarzają się w życie i wezbranym strumieniem porywają go coraz dalej od pozycji socjologa gabinetowego. Dookoła wstawało nowe plemię walczące o postęp. Obok pogłębiającej się krytyki klasy ziemiańskiej, której spóźnionych przedstawicieli Turgieniew i Gonczarow piętnowali pokazując typy „zbędnych ludzi", zarysowuje się drugi aspekt sprawy: „zbędność" jednostki, sparaliżowanej nie tylko przez słabość swego środowiska, lecz i przez ogólne warunki życia w państwie wstecznikow i ciemiężycieli. Jednocześnie powstaje kwestia równouprawnienia kobiety. Pisarze robią próby stworzenia dodatniego typu społecznego, który w owej epoce burżuazji dochodzącej do głosu przedstawia się w postaci syntezy biurokraty i dorobkiewicza. Taki typ maluje Gonczarow w „Zwykłej historii", Drużynin w „Poleńce Saks" (1847). Powieść Drużynina staje się apoteozą drobnego urzędnika, człowieka o cnotach drobnego mieszczanina, bohatera „małych spraw" wyrastających na skalę narodową, gdzie postęp skojarzony jest z patriotyzmem. Zagadnienie biednej krewnej, gnębionej siostrzenicy, lub wychowanki z ludu przechodzi przez szereg powieści młodych pisarzy, a przede wszystkim Herzena.

Po odkryciu człowieka w drobnym urzędniku, po rehabilitacji ułomności moralnej uwarunkowanej wadami społecznymi, literatura pokazała człowieka w chłopie. Romantyzm popularyzował i udostępnił kulturę ludową, ale dopiero realizm zmusił czytelnika do przelewania łez nad dolą ludu. Zaledwie tknięty przez Gogola temat tragizmu prostych ludzi, u jego następców zaczyna działać na opinię publiczną. Dostojewski rozczula się nieszczęściem raznoczyńców, Grigorowicz — losem chłopa pańszczyźnianego. Jego pierwszą powieścią „Anton-nieborak" (ten sam rok 1847) Bieliński wzrusza się, cierpi i płacze. To również jest „punkt topograficzny" w rozwoju społeczeństwa; odtąd myśl „że istnieje chłop-człowiek" mocno zapadnie w świadomość czytelnika a poczynając od lat 50 przetworzy się w ruch polityczny.

7.

Nie należy dziwić się egzaltacji z jaką Bieliński przyjmował te nowe zjawiska w literaturze. Był on w sytuacji badacza naukowca, który znajduje na podstawie niezbitych faktów eksperymentalnych potwierdzenie swojej teorii przetrząsającej dotychczasową naukę. Jeszcze w 1846—1847 latach powracał on do swoich wyjściowych pozycji, aby mówić o nowych zjawiskach przez sztukę potwierdzanych. Faktów tych było coraz więcej. Umocniały one pozycję dialektyki historycznej, robiąc z krytyka jej perkursora i realizatora na gruncie rosyjskim. Tym silniej odczuł on cios zadany przez tego, kogo postawił na czele literatury rosyjskiej wyżej od Puszkina. Ale był to tylko początek — po zdradzie Gogola miała nastąpić zdrada jego następcy, której Bieliński nie dożył, ale którą przewidywał w krytyce kolejnych utworów Dostojewskiego, tego „renegata myśli rewolucyjnej". Fałszywa gra obydwóch polegała na podstawieniu w miejsce zasad postępu — mistyki. Gogol nie potrafił pójść dalej niż publicystyka klerykalno konserwatywna, a Dostojewski dostosował do niej silny środek realizmu artystycznego. Przez ironię losu pisarz ten poniósł w młodości surową karę za rozpowszechnienie listu Bielinskiego do Gogola.

List ten był odruchem moralnego wstrząsu. Bielinski poczuł się obrażonym w swoich przekonaniach, w których uczucie było nierozerwalnie złączone ze stroną ideologiczną. W oburzeniu pokazał on ubóstwo i brzydotę tych form życia, których bronił w „Wyborze ustępów listów do przyjaciół" Gogol. Słynny swój list napisał Bielinski w Solicach, gdzie był w lecie 1847 roku razem z Annienkowem i Turgieniewem. W tym miejscu naszych obecnych wczasów odłożywszy laskę godzinami rozmawiał on z Turgieniewem wypytując go o europejskie prądy filozoficzne i swobodnie omawiając zjawiska rosyjskiej reakcji politycznej. Turgieniew za granicą pisał opowiadania o pańszczyźnie, z których później powstała książka „Notatki myśliwego". Był to materiał wybuchowy, silniejszy i skuteczniejszy, niż sobie wyobrażali wówczas ich autor i genialny krytyk. W Solicach Turgieniew napisał i przeczytał Bielinskiemu swego „Burmistrza".

Bielinski siedział trzymając w rękach kapelusz. Wiatr poruszał kosmykami długich włosów rzeźwiąc spocone czoło. Twarz była martwa, oczy mieniły się ogniem gorączki. Ale myśl jeszcze panowała, intelekt był jasny, wola nieugięta. Bielinski dopiero właśnie przejrzał swoją drogę, spojrzenie jego nabrało zdecydowania i jasności.

Książka Gogola oburzyła go jako potwarz rzucona ideałom, które jedynie mogły uratować Rosję i ludzkość od zacofania, wstecznictwa, zbędnych zbrodni poniżeń ducha człowieka. Bielinski napisał o niej potępiający artykuł. Gogol odpowiedział listem fanatyka. W nadziei że przemówi do rozumu pisarza Bielinski zaczął swój list w spokojnym tonie zrównoważonego dyskursanta. Ale po pierwszych zdaniach nie wytrzymał, temperament go poniósł. Podniecenie tamowało oddech. Krwotoki przerywały pracę.

„Pan tylko częściowo ma rację — pisał Bielinski — dostrzegłszy w moim artykule zirytowanego człowieka: to określenie jest za słabe, za łagodne, aby określić ten stan, do którego mnie doprowadziła lektura pańskiej książki... Zniewagę osobistej ambicji można jeszcze znieść i mnie starczyłoby rozsądku, aby przemilczeć tę sprawę, gdyby tylko w tym tkwił sens rzeczy. Ale nie sposób znieść zniewagi uczucia prawdy, godności człowieka. Nie można zachować milczenia gdy pod pokrywką religii i pod ochroną knuta głosi się kłamstwo i amoralność jako prawdę i cnotę.

„Tak jest, lubiłem Pana z całą namiętnością, z jaką człowiek złączony krwią ze swym krajem może lubić jego nadzieję, honor, sławę, jednego z wielkich wodzów jego na drodze świadomości, rozwoju i postępu. I Pan miał uzasadnione powody do wyjścia na chwilę z równowagi tracąc prawo do takiego uczucia. Mówię to nie dlatego że uważam swoją miłość za nagrodę dla wielkiego talentu, lecz dlatego, że pod tym względem nie stanowię jednostki, lecz reprezentuję wiele osób, których większości ani ja ani Pan nie widzieliśmy nigdy i którzy swoją drogą nie znają osobiście Pana. Nie jestem w stanie dać Panu najmniejszego pojęcia o tym oburzeniu, które wywołała pańska książka we wszystkich sercach szlachetnych, ani opisać tych okrzyków dzikiej radości, którymi powitali jej ukazanie się wszyscy dotychczasowi wrogowie Pana...

„Nigdy nie miałem zamiaru pisać do Pana w tej materii, chociaż boleśnie pragnąłem to uczynić i chociaż Pan dał w druku każdemu prawo pisać do Pana bez ogródki, kierując się wyłącznie samą prawdą. Przebywając w Rosji nie mógłbym tego uczynić ponieważ rosyjscy „Szpiekinowie" otwierają cudze listy nie tylko dla zaspokojenia własnej przyjemności, lecz i z obowiązku służbowego — celem denuncjacji. Ale tego lata początkowa gruźlica wypędziła mnie za granicę i Niekrasow przesłał mi pański list do Solic, skąd jeszcze dziś wyjeżdżam razem z Annienkowem do Paryża... Niespodziewanie otrzymany list Pana dał mi możność powiedzieć Panu wszystko, co miałem przeciwko Panu z powodu pańskiej książki. Ja nie umiem mówić połowicznie, nie umiem używać wybiegów: nie leży to w moim charakterze. Niech Pan, albo sam czas udowodni mi, że myliłem się w swoich wywodach. Ja pierwszy ucieszę się z tego powodu, ale nie pożałuję tego co tu powiedziałem. Sprawa dotyczy nie mnie lub Pana osobiście, lecz materii, która jest wyższa nie tylko ode mnie, lecz nawet od Pana; sprawa dotyczy prawdy, społeczeństwa rosyjskiego, Rosji..."

Czas opowiedział się po stronie Bielinskiego. Czernyszewski i Dobrolubow oceniając jego działalność, jako kryterium wielkości krytyka uznawali trafność i trwałość jego sądów: „Dotychczas wpływ jego działalności literackiej odczuwa się na wszystkim co tylko zjawia się u nas pięknego i szlachetnego". Plechanow pogłębił to zdanie, mówiąc: „Dotychczas każdy nowy krok naprzód w rozwoju naszej myśli społecznej jest jednocześnie nowym materiałem do rozwiązania tych podstawowych zagadnień rozwoju społecznego, których istnienie odkrył Bielinski poczuciem genialnego socjologa, aczkolwiek nie mógł go sam rozstrzygnąć z powodu skrajnego wstecznictwa współczesnej mu „rzeczywistości" rosyjskiej". W swoim przemówieniu o Bielinskim z okazji 50 rocznicy śmierci krytyka Plechanow wyraził pewność, że „gdyby Bieliński dożył naszych czasów odpoczęłby nareszcie psychicznie... Natchnionymi słowami powitałby on początki przebudzenia się proletariatu rosyjskiego i kończąc życie szczerze pozazdrościłby tym szczęściarzom, którzy doczekają się dnia jego zwycięstwa".

Plechanow w swoich kryteriach nie docenił znaczenia akcentu ideologicznego „publicystyczności" artykułów Bielinskiego. Późniejsza krytyka marksistowska przeciwnie podkreśliła je. Lenin wypowiadał się za partyjnością, za czynną funkcją społeczną sztuki. W utworach Lenina są rozsypane wzmianki i wypowiedzi dotyczące znaczenia Bielinskiego jako perkursora marksizmu. W swojej pracy „Co robić?" nazwał go swoim poprzednikiem. Zaznaczając, że „rolę czołowego bojownika może spełnić tylko partia kierowana przodującą teorią", dodawał: „Ażeby chociaż trochę konkretniej to sobie przedstawić, proszę czytelnika ponowić w pamięci imiona perkursorów rosyjskiej socjaldemokracji: Herzena, Bielinskiego, Czernyszewskiego". „Podobnie jak dekabryści — pisał Lenin w artykule „ Z przeszłości partii robotniczej w Rosji" — obudzili Herzena, a jego „Dzwon" („Kołokoł") przyśpieszył obudzenie się raznoczyńców, wykształconych przedstawicieli liberalnej i demokratycznej burżuazji, którzy należeli nie do szlachty, lecz do urzędników, mieszczaństwa, kupiectwa i chłopów. Perkursorem ostatecznego aktu wyparcia szlachty przez raznoczyńców w naszym ruchu wyzwoleńczym był jeszcze za czasów pańszczyzny W. G. Bielinski. Jego słynny „List do Gogola" który stanowi bilans działalności literackiej Bielinskiego, był jednym z najlepszych utworów niecenzurowanej prasy demokratycznej i zachował duży, żywy wydźwięk po czasy dzisiejsze".

Leon Gomolicki

JERZY WYSZOMIRSKI

CHOROBA I ŚMIERĆ MICKIEWICZA

1.

ROK BIEŻĄCY jest rokiem jubileuszowym Mickiewicza: przypada w nim 150-ta rocznica jego urodzin. Rzecz prosta, nasilenie uroczystości nastąpi pod koniec roku, Mickiewicz bowiem urodził się w Wigilię Bożego Narodzenia. Ale i w ciągu roku ukazują się już tu i tam artykuły o Mickiewiczu i odczyty w radio — przygrywki niejako czy przygotowywania do właściwego obchodu. Czy godzi się, w podniosłej atmosferze jubileuszowej przypomnieć dramatyczną śmierć Mickiewicza w Konstantynopolu oraz to, co o tej śmierci i jej przyczynach pisano? Pisano, jak wiadomo, że poeta umarł otruty; utrzymywał tak przede wszystkim Boy-Żeleński, enfant terrible naszej przedwojennej publicystyki, w pewnym sensie voyeur czyli podglądacz przez dziurkę od klucza osobistości historycznych, — może nawet obarczony jakimś kompleksikiem; badacz, którego naukowcy z subtelną pogardą nazywali „buduarowym historykiem". Ale z drugiej strony, ten pisarz, który nieraz na pół żartem na pół serio sam się przyznawał do różnych „obsesyj", niemało się przyczynił do rozświetlenia pewnych zakamarków w naszej literaturze i w historii; chodzi nam, czy też powinno chodzić, o t. zw. prawdę, jakąkolwiek ona jest; otóż, pod tym względem trzeba o Boyu powiedzieć, że na swój sposób był „szermierzem prawdy", aczkolwiek umiał swe dociekania historyczne, które powinny być z natury swej bezinteresowne doskonale przyprawiać sensacyjnością i reklamą. *).

Ale te kilka słów o Boyu — to dygresja i do pewnego stopnia obwarowanie się przed możliwym zarzutem, że wstępuję w ślady Boya, zazdroszczę mu laurów, odgrzewam rzeczy stare, wprowadzam zgrzyt do harmonijnego chóru wspominków, jaki winien wtórzyć uroczystościom mickiewiczowskim — itp. Nie żywię żadnego z tych zamiarów. Chciałbym, żeby mi czytelnik wierzył, iż jestem również miłośnikiem prawdy. I w imię jej trzeba wyznać, że choroba i śmierć Mickiewicza nie jest dotychczas ostatecznie wyjaśniona. Co się zaś tyczy Boya, nie był on ani pierwszy ani ostatni z tych, co wysuwali przypuszczenie, że Mickiewicza otruto; Boy nadał tylko sprawie charakter przekorny, drażniący i prowokujący opinię; ale takie uproszczenie rzeczy było mu właściwe, niejako przyrodzone, i — mówiąc bezstronnie — czasami nader pożyteczne i skuteczne.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Mickiewicz umarł nie otruty, lecz t. zw. śmiercią naturalną. Wszelako przysłania ją po dziś dzień jak gdyby niedomówienie; wszelako porwała go ona w warunkach tak smutnych, posępnych, tragicznych i jak gdyby zagadkowych — że należałoby ją raz na zawsze spokojnie i odważnie wytłumaczyć, właśnie w tym jubileuszowym roku, jubileusze bowiem winny być nie tylko uczczeniem i uwielbieniem, ale i sposobnością do takiej czy innej rewizji pewnych spraw i wydarzeń. Naturalnie, nie ja jestem powołany do tego, by tłumaczyć okoliczności śmierci Mickiewicza: to obowiązek historyków i uczonych.

2.

Boy odświeżył niegdyś przed laty piętnastu, starą klechdę, że Mickiewicz został otruty — jakby to powiedzieć? — na skutek knowań czy poduszczeń gen. Wł. Zamoyskiego, przedstawiciela polityki Hotelu Lambert czyli konserwatystów emigracyjnych. Oczywista, nie zrobił tego Zamoyski własnoręcznie; przebywał zresztą wówczas w Londynie; do otrucia Mickiewicza arszenikiem użyto rzekomo kogoś z ludzi, otaczających go w Konstantynopolu, może któregoś z lekarzy, może dra Drozdowskiego albo dra Gembickiego. Jeśli mowa o Gembickim to w relacji o śmierci poety, spisanej przez pułkownika Emila Bednarczyka, a odnalezionej dopiero w r. 1932 w archiwum rapperswilskim, jest ustęp rzeczywiście intrygujący: Oto on:

...Mickiewicz był zimny jak lód... ściął zęby tak, że pomimo wysiłków ust otworzyć mu nie mogłem. Pobiegłem po doktora najbliższego. Był nim Polak, Dębicki, **) który po opowiedzeniu mym symptomatów choroby Mickiewicza, odrzekł, że jest to najgwałtowniejsza choroba, ratunku dlań nie ma, i że nie pójdzie do chorego, bo mąż to znamienity, a że wyleczyć go nie można, powiedzą, żem go zabił. Zagroziłem pistoletem, jeśli nie pójdzie. Więc poszedł, ja zaś wstąpiłem do apteki po lekarstwo. Wróciwszy do chorego, zastałem lekarza chodzącego po stancji i wyrzucającego: „po co ja tu, gdy już nie żyje, powiedzą, żem go otruł". Mickiewicz jeszcze oddychał..

Maska pośmiertna Adama Mickiewicza

Przyznać trzeba, że takie zachowanie się lekarza, które oczywista nabrało zaraz rozgłosu, mogło wzbudzić podejrzenie o otrucie. Zresztą, co do dra Gembickiego, posądzano go, że działał nie z nakazu partii Czartoryskich, lecz był agentem rządu carsko-rosyjskiego i szpiegiem; wykonawcą woli Hotelu Lambert miał być dr. Drozdowski — według plotek, krążących wówczas po Konstantynopolu. Były i inne przypuszczenia — potomnych już i historyków, nie ludzi współczesnych wypadkom: mniemano, że winowajcą był sekretarz Mickiewicza, Armand Lévy, człowiek, o którym wiemy skądinąd, że oddany był poecie najwierniej; inni pomawiali o otrucie Austrię. Już to samo, że bajano o czterech sprawcach zbrodni: o Hotelu Lambert, Rosji, Lévy'm (niby masoneria) i Austrii — świadczy przeciw otruciu, a dowodzi tylko tego, że śmierć Mickiewicza nastąpiła w tak niezwykłych okolicznościach, iż musiała zrodzić fantastyczne domysły. Tak też patrzył na rzecz Władysław Mickiewicz, który w swych pamiętnikach notuje, że emigranci niejednokrotnie zwierzali mu się, iż „posiadają najdokładniejsze szczegóły otrucia" jego ojca, jednakże nigdy nic z całą ścisłością nie podawali.

Otrucia tedy nie było. Ale mogło być niepojęte, karygodne, oburzające zaniedbanie, czy zlekceważenie choroby wielkiego człowieka, choroby dziwnej, jak się zaraz przekonamy. Czym to zaniedbanie tłumaczyć? Jakie mogły być przyczyny lekkomyślności i opieszalstwa najbliższego otoczenia poety, które przecie składało się z kilkunastu osób? Dlaczego dr. Gembicki wezwany do śmiertelnie chorego, nie tylko nie daje mu żadnego lekarstwa, ale nawet krwi nie puszcza jak to się w owych czasach doraźnie praktykowało? Dlaczego, gdy Mickiewicz „wije się z boleści" (jak pisze Lévy), lekarze poją go tylko kilkakrotnie laudanum tj. opium, nie stosując żadnych zabiegów z wyjątkiem „nacierania"? Choroba Mickiewicza, co prawda, była gwałtowna: trwała zaledwie piętnaście go-

*) W sprawie Mickiewicza Boy roznamiętniał opinię wiadomością, że krakowskie Muzeum Czartoryskich przechowuje, dostępne tylko dla wtajemniczonych, jakieś „zielone teczki", zawierające zakonspirowane dokumenty otrucia. Ówczesny dyrektor Muzeum, dr. Marian Kukiel, ogłosił na to w prasie urzędowe oświadczenie, że wiadomość Boya jest niezgodna z prawdą, że Muzeum nie ma „żadnych teczek zielonych ani innej barwy, które by nie były dostępne dla każdego uczonego, bez wyjątku i zastrzeżeń". Może by obecna dyrekcja Muzeum raz jeszcze przeszukała jego skrytki i potwierdziła oświadczenie Kukiela?

**) Bednarczyk nazywa go raz Dębickim, innym razem Gembickim; inni nazywają go też Rosenstrauchem.

dzin. Ale w ciągu piętnastu godzin można było stosować coś więcej, niźli opium i rozcieranie siniejących kończyn, zwłaszcza, że przy umierającym kręciło się czterech doktorów: Gembicki, Drozdowski, Szostakowski i Narkiewicz. Ten ostatni, spoglądając na konającego, powiedział wyraźnie: „Zaniedbany". A potem wszyscy tam, przy jego stygnących zwłokach obrzucają się obelgami, wywołują awantury. Gdyby podówczas rozpowszechniona była tak szeroko jak dzisiaj ta prasa, którą nazywamy brukową, bulwarową czy rewolwerową, rozdmuchałaby ona na pewno śmierć Mickiewicza do granic wyjątkowej sensacji, i w komunikatach jej powtarzałoby się nieraz słowo „skandal". Czy razi ono nasz słuch? Nie powinno! Użył go przecie w swym melancholijnym wierszu o pogrzebie paryskim Mickiewicza Norwid. Taki dał tytuł wierszowi: „Duch Adama i skandal". A napisał go z powodu nieprawdopodobnej burdy, jaka się wydarzyła w kościele św. Magdaleny: oto podczas modłów nad zwłokami Mickiewicza emigrant Jóźwiński uderzył kijem w plecy Władysława Zamoyskiego i umknął. Ten „skandal" w kościele musiał mieć przyczynowy związek z pogłoskami o otruciu Mickiewicza. Norwid określa to jako „hańbę domową". Przypomnijmy wiersz:

Oto ten samy, którego bezdumna
W kościoła wnętrzu czerniła się trumna,
Zmartwychwstał w Słowo —
I „kochajmy się" wyrzekłszy przy zgonie,
Po zgonie jeszcze w swym ukrywa łonie
Hańbę domową.
Więc się pokazał naprzód Magdalenie,
Podobny Panu, jak swym wzorom cienie
Podobne wiernie —
I na Emaus idącym powiada,
Jak się to pismo niejasno wykłada,
Że laur to ciernie.

3.

W naszej literaturze lekarskiej mamy niewielką, ale niezmiernie interesującą pracę o ostatnich chwilach Mickiewicza, zgoła, rzecz naturalna, inną, niźli hagiograficzna opowieść Bełzy, skomponowana budująco gwoli umoralnieniu młodzieży. Jest to rozprawa dra Jana Offenberga p. t. „Ostatnia choroba Adama Mickiewicza na tle ogólnego stanu jego zdrowia". Ogłoszona na krótko przed wojną z wiosną r. 1939, rozprawa ta, jak się zdaje, przeszła niepostrzeżenie. Dr. Offenberg uwzględnił całą literaturę, dotyczącą choroby i śmierci Mickiewicza, zwłaszcza wszystkie głosy, jakie wzięły udział w dyskusji, wszczętej przez Boya i ponadto jako lekarz i toksykolog, zbadał wiele dzieł specjalnych, traktujących o zatruciu arszenikiem i o cholerze. Opierając się na tym obszernym materiale, dr. Offenberg doszedł do dwóch wniosków, ostrożnych zresztą, jak wszelkie wnioski naukowo - lekarskie, a mianowicie: — 1. „Przebieg choroby Mickiewicza, mimo podobieństwa z objawami zatrucia arszenikiem, nie upoważnia do twierdzenia, że Mickiewicz umarł otruty"; 2. „Objawy przemawiają za **śmiercią naturalną** Mickiewicza w następstwie ciężkiej, ostro przebiegającej choroby narządów trawienia natury zakaźnej".

Na pytanie, czy ta ciężka choroba zakaźna, mogła być, jak przywykliśmy wierzyć cholerą azjatycką, dr. Offenberg odpowiada przecząco, a to dlatego, że cholera nie panowała wówczas wcale w Konstantynopolu i, że nikt spośród trzynastu osób, zgromadzonych przy łożu umierającego poety, nie uległ zakażeniu, mimo „niezmiernie sprzyjających okoliczności", a więc: opłakanych warunków higienicznych mieszkania Mickiewicza, bezpośredniego stykania się z chorym, jego wymiotów itp., które to zakażenie przy cholerze musiałoby z całą pewnością nastąpić. Mogła to więc być tylko t. zw. „cholera nostras" czyli „zatrucie pokarmowe".

Przed postawieniem tej diagnozy dr. Ofenberg rozpatrzył wszystkie możliwe przypadki chorobowe, jakim mógł ulec Mickiewicz w Konstantynopolu. Uczynił to na podstawie wiadomości o jego zdrowiu i jego konstytucji fizycznej, jakie udało mu się jako lekarzowi wyłuskać z materiału biograficznego o Mickiewiczu i na podstawie relacyj o jego chorobie i śmierci, przekazanych przez naocznych świadków, przede wszystkim przez wzmiankowanego płk. Bednarczyka oraz przez Henryka Służalskiego i Armanda Lévy.

Możliwości chorobowych mogło było zajść dwanaście: 1) mocznica (uremia), 2) zapalenie wyrostka robaczkowego, 3) ostry zanik wątroby, 4) krwotok wewnętrzny, 5) przedziurawienie dwunastnicy, 6) zawał mięśnia sercowego, 7) niedrożność jelit, 8) ostra martwica lub krwotok trzustki, 9) udar (wstrząs) mózgu, Mickiewicz bowiem, doznawszy pierwszego napadu choroby, wstał z łóżka żeby się udać, jak pisze Bednarczyk, „do wychodka", lecz gwałtownie upadł na podłogę i potłukł sobie głowę; wreszcie: 10) cholera azjatycka, 11) zatrucie pokarmowe czyli cholera nostras — i, nakoniec: 12) otrucie arszenikiem.

Dr. Offenberg, zbadawszy sumiennie wszystkie te możliwości, stwierdziwszy, że obecna medycyna nie miałaby z ustaleniem którejkolwiek z nich żadnego kłopotu; wyraziwszy żal, że czterej lekarze (może z wyjątkiem Narkiewicza), doglądający chorego, nie stali na wysokości zadania (Gembicki alias Rosenstrauch był podobno dentystą a Szostakowski felczerem), doszedł, jak widzieliśmy, do wniosku, że Mickiewicz umarł na „zatrucie pokarmowe".

4.

I tutaj możnaby puścić wodze fantazji. Zatrucie pokarmowe może być przypadkiem: każdy może wejść do restauracji, zjeść nieświeżą rybę i zatruć się, nawet śmiertelnie. Ale też natychmiast można się uratować, jeśli się zastosuje odpowiednie środki. Czy lekarze Mickiewicza w ciągu piętnastu godzin jego ciężkiej choroby, połączonej z wymiotami, nie umieli tych środków zastosować? A może nie było to zatrucie przypadkowe tylko długotrwałe? Dr. Offenberg wyraża zdumienie nad odżywianiem się Mickiewicza w Burgas i Konstantynopolu. Mickiewicz jadał byle gdzie, w najgorszych jadłodajniach; jadał potrawy ciężkie i niestrawne — byle co: śledzie, cebule, kapustę, tłustą baraninę, pieprzny bigos z dzika, mocnym winem podlany, suszone mięso kozie, barszcz, oliwki marynowane, stare salami, kotlety baranie, suszone ryby, ciastka „jak z gliny" itd. Raz nawet trafiła się taka kiełbasa, że jeden ze współbiesiadników Mickiewicza „nie chciał jej jeść i psom rzucił". Czy Mickiewicz ją zjadł, nie wiemy. Wiemy tylko, że po tej uczcie dostał „zaburzeń kiszkowych". Dr Drozdowski sądził, że była to dysenteria.

Jednocześnie mieszkanie Mickiewicza było okropne. Albo w nocy „owady nie dawały mu zmrużyć oka", albo przy brudnej i ciasnej ulicy Kalendżi-Kuluk miał „pokój ciemny, wilgotny nie dający się ogrzać". A czas był jesienny, deszczowy i chłodny. Wiemy zaś z życiorysu Mickiewicza, że był on szczególnie wrażliwy na chłód, i „przy lekkim nawet zimnie w pokoju, chuchał w palce i dzwonił zębami". Oczywiście, że z tym wszystkim nie przestawał nadużywać fajki i mocnej kawy — tej kawy, której sekret podał już w „Panu Tadeuszu": musi mieć ona „czarność węgla, przejrzystość bursztynu, zapach mokki i gęstość miodowego płynu". Taki tryb życia mógł pokonać 57-letniego poetę, mimo jego pozory zdrowia: acz nie wysoki (164 cm wzrostu), zadziwił był przecie w chwili swego wylądowania w Turcji oficera kozaków otomańskich swą dobrą budową ciała, barczystością i niepospolitą postawą.

Niektórzy filozofowie powiadają przemądrze, że każdy człowiek dąży do samozniszczenia. Może jest to prawda, i może Mickiewicz w swym okresie konstantynopolskim popadł właśnie w taki stan, niejako determinacji duchowej, który to stan mógł mieć swoje przyczyny — narodowe i polityczne: Mickiewicz widział, że idea polskiego legionu wschodniego wali się, że wojna krymska, która się już miała ku końcowi, nie ziści w ogóle nadziei Polaków, jak nie ziściło ich tyle innych wydarzeń politycznych. Mogło w tym wypadku zachodzić pewne podobieństwo przeżyć pomiędzy Mickiewiczem a innym — płomiennym patriotą polskim, socjalistą Stanisławem Worcellem, który w dalekim Londynie, gdy wojna krymska wybuchła, raz jeszcze rozpalił w sobie całą energię działacza politycznego, a potem, gdy się bezowocnie dla Polski zakończyła, już tylko przez rok dogorywał — po trzydziestoletnim prawie bojowaniu o sprawę polską.

Wszelako Mickiewicz w Konstantynopolu obracał się wśród tylu i takich ludzi, którzy powinni byli się troszczyć o zdrowie i życie największego Polaka; a jego wielkość wszyscy oni bardzo dobrze rozumieli. Był tam i Władysław ks. Czartoryski (syn Adama) i Michał Czajkowski — Sadyk Pasza, i żona jego Ludwika Śniadecka z Wilna, i Jażewski - Osman bey, nie mówiąc o mniej znacznych, o owej gromadce, tłoczącej się w wilgotnym pokoiku umierającego, wśród której byli i oficerowie polscy, jak kapitan Perkowski i kapitan Rudnicki z żoną; pomijając wreszcie dość liczną kolonię polską w Stambule. Nikt właściwie nie przedsięwziął nic, żeby ratować Mickiewicza — nic prócz laudanum; nie postawił na nogi, kogo tylko mógł; nikt, w braku dobrego lekarza, nie popędził do ambasady angielskiej lub francuskiej, które w swoim czasie proponowały Mickiewiczowi — odrzuconą przezeń — gościnę w swych apartamentach; jeden Bednarczyk biegnie natychmiast po sąsiedniego lekarza, którego musi sprowadzać pod pistoletem. „Zaniedbany" — powiada ze smutkiem Narkiewicz. I to dziwne słowo wymaga wytłumaczenia, wymaga prześwietlenia, którego winien dokonać delikatny, lecz prawdę miłujący historyk — lub może, raczej poeta.

Jerzy Wyszomirski

ANNA KAMIEŃSKA

GŁOS W DYSKUSJI O CZYTELNICTWIE

DROGI KULTURY NA WSI

1. BIESIADA

Tylko że mówi się nie o przyprawach stołowych i nie o miłości, lecz o czytelnictwie na wsi. Trudno nazwać dyskusją te goniące się artykuły i felietony w prasie literackiej na temat, którego aktualność i ważność została zresztą dostatecznie umotywowana, choć niejako poza publicystyką począwszy od wrocławskiego przemówienia Prezydenta. Bezładną biesiadę literacką na temat czytelnictwa przypominają wszystkie opublikowane sprawozdania pisarzy z objazdów organizowanych przez „Czytelnika". Jak słusznie zauważono w jednym z artykułów „Wsi" — te raporty literatów bardziej ich charakteryzują niż wieś. Mieliśmy możność przyjrzeć się jeszcze raz tym konwencjom pojęciowym i emocjonalnym, w jakich widzi się tzw. prowincję. Obserwowaliśmy różne schematy ujmowania sytuacji kulturalnej w bezpośrednich wypowiedziach pisarzy — ludzi tkwiących przecież całkowicie w sferze kultury, których nie przywykliśmy jednak nazywać pracownikami czy działaczami kulturalnymi.

Schemat psychologiczny jest najczęstszy. Wówczas mówi się o zapóźnieniach kulturalnych jak o fazach rozwoju psychicznego i umysłowego, o gustach · literackich jak o przejawach okresu dojrzewania. Chłopi czytają Sienkiewicza i Meissnera z takim upodobaniem jak uczniacy z pierwszej gimnazjalnej pod ławką. Chłopi nie lubią o chłopach, chłopi lubią to lub owo. Czytelnictwo nie jest tu traktowane jako pewien wykładnik systemu kulturalnego, opierającego się o szersze determinanty ustrojowe, lecz jako jeden jeszcze rys do jakichś tam zdemokratyzowanych bo środowiskowych „charakterów".

Inny schemat można by nazwać **salonowym.** Czynności i zajęcia kulturalne ujmuje się jako zupełnie prywatne i rozrywkowe, jako sublimację życiowej prozy. Pewne optymistyczne sprawozdania nasunęły refleksje wprost przeciwne do zamierzonych: poco pchać się tam z książkami i z dysputami Kott-Turowicz, cieszyć się, że się w ogóle gdzieś coś czyta? Dla wrażeń? Te niemal ontologiczne dla problemu wątpliwości, rodzące się pod wpływem indywidualistycznego, salonowego schematu kulturowych relacji, nie pozwalają przekroczyć nawet poza próg problemu.

Ciekawszy schemat pokazał nam wiejski pisarz i działacz oświatowy, który w jednym z pism literackich ogłosił swą zamaszystą opinię na temat czytelnictwa na wsi. Zresztą bardziej dyskursywną niż biesiadne impresje literatów Podczas gdy oni zjeżdżali na prowincję zawsze jednak jak do niedojrzałych lub zabłąkanych kulturalnie środowisk, a nawet jak na kulturalną pustynię — z przeświadczeniem, że przynoszą ze sobą coś cennego od góry — ludowy działacz wystąpił z inwektywą przeciw całej prawie współczesnej literaturze polskiej, a to w imię mitycznego, zdrowego rozumu chłopskiego. Zamówienie społeczne wsi, jakie wyraża się w upodobaniach czytelniczych, potraktował jako kanon dobrego i społecznie wartościowego smaku literackiego. W żadnym wypadku nie wydaje się to słuszne. Ankieta na temat czytelnictwa powieści na wsi przeprowadzona przez „Wieś" wykazała, że żądania stawiane przez czytelników literaturze bynajmniej nie mogą być uważane za normatywne. Powstałaby z nich poetyka powieści lichego gatunku ideologicznego i małych artystycznych ambicji. Cenne są one przede wszystkim jako socjologiczny materiał dla określania kulturalnej sytuacji środowisk, ich dziejów nawet — tak dalece wyraża się w nich warstwami zakrzepła historia kultury.

Wobec tych niewątpliwych metodycznych błędów, które udaje się stwierdzić nawet mało zaawansowanemu w myśleniu socjologicznym obserwatorowi — praktyczne rozważania w rodzaju tych, jakie przeprowadza Jacek Bocheński w jednym z poprzednich numerów „Kuźnicy", stanowią krok naprzód. Ale tu znów zasadniczy powód do dyskusji. Pominąwszy już to, że Bocheński pozwolił sobie nie uwzględnić koncepcji Jana Kotta, wyłożonych kiedyś w zasadniczym artykule na ten sam temat — jego projekt podstawowej biblioteki „ludowej" jest pomyślany w tejże samej pustyni kulturalnej, o jakiej pisze poeta odwiedzający wieś. Ta mała piramida budowana z cegiełek czy cegieł powszechnej literatury — zawisa w powietrzu. Czy nie chodzi tu czasem o bibliotekę szkolną? No, to można podyskutować. Bądź co bądź istnieje i to zagęszczająca się sieć szkół, które stopniowo staną się szkołami średnimi — 11-letnimi. Umówmy się, że są te szkoły i pracują — lepiej lub gorzej. Sprawdzić można — jak mówi Gałczyński. Umówmy się, że podstawą dla naszej sprawy czytelnictwa jest oświata na wszystkich szczeblach, tzn. szkoły podstawowe i instytucje oświaty dorosłych. Z takim założeniem postarajmy się nie mieszać spraw oświatowych z kulturalnymi (choć granica między nimi jest taka płynna), a to przynajmniej z tych samych praktycznych powodów, dla jakich istnieją odrębne ministerstwa dla oświaty i dla kultury, czyli ze względu na różne instytucje zajmujące się także w terenie tymi samymi sprawami.

2. DROGI KULTURY

Sytuacja kulturalna prowincji — trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć — jest dziś sprawą **docierania kultury** — poprzez drogi techniczne i strukturalne przebiegające w organizacji życia zbiorowego. Można było mieć co do tego wątpliwości w okresie żywego folkloru, w okresie pojawienia się zjawiska pisarstwa ludowego, gdy się spodziewano, że kultura ludowa stanie się w jakimś sensie odrodzeniem dla kultury inteligenckiej. Dekadencki katastrofizm kulturalny romantyzmu i Młodej Polski w kulturze wsi szukał dla siebie ratunku. Charakterystyczny także dla tych prądów nacjonalizm kulturalny znalazł w sztuce i kulturze ludowej pożądany „karmin ojczystości".

Józef Chałasiński twierdzi wprost w książce „Społeczeństwo i wychowanie": „Proces demokratyzacji kultury oznacza, że w procesie historycznego kształtowania się społeczeństwa wzory kultury tzw. warstw niższych podnoszą się do wysokości wzorów najwyższych" — uzasadniając to twierdzenie przykładem chłopskich elementów kultury amerykańskiej — z resztą raczej dyspozycji psychologicznych, niż zobiektywizowanych przejawów kultury.

Niedawno w pięknym artykule „Od czajchanu do maszyny rotacyjnej" („Wieś" Nr 20—21) Leon Gomolicki pokazał na przykładzie jednej z republik radzieckich — Turkmenii proces przyśpieszonego rozwoju narodowego życia kulturalnego Lecz istniała żywa ludowa kultura turkmeńska. Była ona kulturą ustną, trzeba było tylko wyposażyć ją w nowoczesne środki techniczne, trzeba było szept jej powtórzyć przez megafon techniki: mikrofon, maszynę drukarską. Ludowa w treści kultura turkmeńska nie przestaje być ludową w nowym uposażeniu technicznym. Ludowość — folklor przeskakuje łukiem ponad burżuazyjne formy rozwojowe — do ludowości demokracji radzieckiej republiki. Skok ten okazał się możliwy.

Nie możemy jednak przeprowadzić kuszącej analogii między zacofanymi narodami ZSRR i zacofanymi kulturalnie środowiskami u nas. Kultura ludowa polskiej wsi jest zabytkiem muzealnym i teatralnym rekwizytem. Pisarstwo ludowe okazało się przeważnie krzywym zwierciadłem form i treści literatury niejako oficjalnej, narodowej.

Tak więc sprawa demokratyzacji kultury u nas jest sprawą docierania kultury. Drogami, po których ona chadza, nie są przecież psychiki ani mózgi ludzi, lecz instytucje wbudowane w ustrój społeczny.

Znamienny wydaje się fakt, że wielosłownym i różnorako stylizowanym próbom określenia sytuacji kulturalnej wsi przez literatów „Wieś", będąca najżywszym i może najbardziej kompetentnym zespołem zajmującym się oddawna problematyką kulturalną prowincji — przeciwstawiła lakoniczne wykazy w artykule J. A. Króla („Wieś" Nr 17).

„W pierścieniu 50 wsi (pow. jędrzejowski) wokół Pawłowic... połowa wsi znajduje się daleko od traktów, gminy, miast, stacyjek kolejowych; 3/4 z nich kryte słomą, o starych domostwach, często bez „mebli" i podłogi. Prawie wszystkie bez dróg bitych i chodników, bez elektryczności. W 12 szkoły powszechne (3 — 7-oddziałowe, 2 — 6-cio, 2 — 3 - oddz., 4 — 4 - oddz., 2 — nieokreślone), tylko z 8 wsi młodzież w gimnazjach (od 3 do 16 osób), w 15 wsiach partie polityczne (SL, PPR, PPS, nie wszędzie wszystkie), w 10 „Wici", w 4 — ZWM i OM TUR, w 14 wsiach — kościoły w 7 — katol. Zw. „Caritas", w 9 —Z.S.Ch., w 7 — spółdzielnie, w 8 — sklepy prywatne (w 3 po 2 — 3), mało gdzie świetlice, trzy własne Domy Ludowe, 6 biblioteczek przy szkołach (jedna o tysiącu tomów). Itd. Język dla wtajemniczonych z zespołu? Surowe cyfry czekające na literacką obróbkę? Być może. Jednocześnie wstrzemięźliwość i skromność wiedzy przeciwstawiająca się zadufanej w sobie wierze w autonomiczność kultury, albo mówiąc pospolitym językiem — w potęgę ducha, w przemożne działanie piękna itd.

Nie ma kultury poza instytucjami, o których mowa, poza ich wpływami lub rywalizacją. W dziejach awansowania kulturalnego wsi w ciągu ostatniego półwiecza mamy jednostki przewyższające ogół wiejski wykształceniem, zamiłowaniem do zajęć kulturalnych — pozostające na wsi, a mimo to niezdolne oddziaływać bezpośrednio na środowisko. Zdarzają się na wsi zamiłowani czytelnicy i zbieracze książek, ludzie, których skłonności wydają się na tle środowiska maniakalne. Nie o to jednak chodzi, aby powiększyć liczbę tych szlachetnych maniaków. Mamy przykłady takiej kulturalnej deklasacji chłopów, chociaż deklasacji przez awans, przykłady samotniczych i „ciernistych ścieżek" chłopów, którzy nie stawali się inteligentami, przestając być — według wzoru kulturalnego — chłopami. Przykłady nie tyle godne szacunku co żałosne.

Istnieje natomiast w historii kultury wsi — ruch, który i przez swoją masowość i przez staranne wiązanie się ze środowiskiem społecznym musi być uznany za zasadniczo prawidłową drogę rozwoju kulturalnego. Jest to ruch młodowiejski wywodzący się z politycznych kręgów zaraniarskich, organizacyjnie nie jednolity wprawdzie, ale zorganizowany. To decyduje. Jaką rolę w tym ruchu odegrała książka, czytelnictwo — mówią życiorysy zawarte w wielkiej monografii J. Chałasińskiego „Młode Pokolenie Chłopów" Najczęściej książka wprowadzała przełom w życie chłopca czy dziewczyny wiejskiej, otwierała oczy na zagadnienia gospodarcze i socjalne, popychała do gromady, do łączenia się. Zadania społeczno-gospodarcze stające przed młodzieżą chłopską w tym okresie, w okresie po bankructwie 1-szej reformy rolnej i w czasie postępującej pauperyzacji wsi — wyznaczały rolę książki. Wydaje się, że niekiedy bardziej dynamika kulturalna literatury, niż jej treść szlachecko-mieszczańska mogła tu oddziaływać.

Przykłady te są pouczające. Do czego zmierzał ruch młodowiejski zorganizowany w związkach i stowarzyszeniach młodzieży kształcącej się we własnych stanowych szkołach — Uniwersytetach Ludowych? Zmierzał do stworzenia dla swego środowiska grupy,

którą ze względu na funkcje wyznaczone nazwać trzeba inteligencją, własną **inteligencję wsi** — w przeciwstawieniu do inteligencji pochodzenia chłopskiego, która wsiąkała w miasto Szkoła powszechna 11-letnia to już normalne, uregulowane przez państwo poszerzanie społecznego zasięgu inteligencji, proces ujęty po raz pierwszy w formy organizacyjne przez ruch kulturalny młodzieży wiejskiej.

Podstawowy błąd ideologiczny tego ruchu sprowadzał się do poprzestania na podobnej do cytowanej z książki Chałasińskiego tezie o wzorcu kulturalnym warstw niższych podanym jako obowiązujący obiektywnie i poza strukturą środowiska. Chłopstwo idealizowane według wzoru ludomańskiego, naturalistyczna koncepcja kultury, wychowanie personalistyczne, agraryzm — wynikały z zamknięcia się w obrębie chłopskości, sugerowały możliwość autonomii kulturalnej wsi.

Te wielokroć powtarzane zdania nie stały się jeszcze truizmami. Nawet jeśli pisarze jadący na wieś ze swymi książkami byli przekonani, że ich szlakiem powinna zdążać kultura na wsi, to głos chłopskiego działacza kulturalnego należy do nieprzezwyciężonego w instytutach i organizacjach kulturalnych ludowych systemu pracy kulturalnej na wsi, utrzymujących choćby ten ostatni separatyzm wsi od kultury ogólnej: co lubią, co do nich nie trafia i nigdy nie trafi, dopóki żyto sieje się w świętą ziemię, a nie na asfalcie.

3. TRUDNOŚCI

Kto odważy się pojeździć sobie po wsiach np. po prawej stronie Wisły i dotrze do jakiegoś powiatu pogranicznego — zniszczonego przez wojnę, zalegającego jeszcze całymi połaciami w ugorach, kto zobaczy, jaką sensację obudzi jego samochód na wsi, jak dzieci będą za nim chmarą biegały, a konie spłoszone jak przed diabłem poniosą — zwątpi w to, czy słusznie Jadwiga Siekierska w „Kuźnicy", Strojowski w „Twórczości" a Pruszyński w „Odrodzeniu" ubolewają nad zbyt wielką liczbą instytucji upowszechniających kulturę na wsi, nad tłokiem „kulturalników" w terenie. Słusznie mówi się o potrzebie centralnej organizacji, koordynacji itd. Ale niesłuszne wydaje się odbieranie organizacjom gospodarczym czy politycznym ambicji oddziaływania kulturalnego. Kwestią niemal istnienia komórki ZSCh. na wsi jest przejęcie przez nią od straganu jarmarcznego do sklepiku przez długi czas ich funkcji kulturalnych. Tam, gdzie trzeba przejąć lub stworzyć dopiero miejsce na potrzeby kulturalne, należy przyznać więcej niż gdzie indziej kompetencji kulturalnych instytucjom o celach zasadniczo poza-kulturalnych.

Spółka maszynowa, spółdzielnia gminna, organizacje polityczne należą do tego samego systemu, w którym mieści się i literatura okresu. Instalacja biblioteki będzie prostą konsekwencją wrośnięcia w wieś nowoczesnych instytucji gospodarczych i politycznych. To one przede wszystkim ściągną książkę na wieś poprzez wewnętrzne przewody systemu. Wszyscy tworzą i knocą kulturę. Bo też wiedzą, że rzeczywistość jest w gruncie rzeczy kulturalna.

W środowiskach zacofanych książka nigdy nie występowała poza systemem gospodarczym i kulturalnym. Książka spoza systemu była po prostu ciałem obcym, które musiało być albo uprzednio zasymilowane albo odrzucone.

W książkach, które inteligencja szlachecka niosła na wieś, począwszy od „Pielgrzyma z Dobromilu" ks. Czartoryskiej i „Pana Jana ze Swisłoczy" Chodźki do 24 Obrazków Anczyca i Trylogii, zawiera się cała historia chrześcijańskiej i narodowej pracy kulturalnej na wsi, historia **uobywatelniania** chłopa w kulturze równolegle do poszerzania obywatelstwa politycznego — od prywatnych reform wobec groźby uwłaszczenia do prób włączania warstwy chłopskiej w szlachecką tradycję narodową. „Powiastki dla ludu", romanse „dla ludu i młodzieży naszej" były specjalnym rodzajem pisarskim, w którym zasłużyły się zwłaszcza kobiety moralizatorki i popularyzatorki historii.

Stosunkowo bardzo niedawno dopuszczono możliwość usunięcia owej szlachetnej narodowej cenzury, przez którą przechodziło dotychczas wszystko, co z kultury narodowej miało być przekazane ludowi. Postulat ten zresztą nie został postawiony od góry, nie został wymyślony. Czytelnictwo na wsi i w ogóle to, że można dziś o nim mówić jako o problemie aktualnym i rzeczywistym, jest dziełem nie inteligencji ludomańskiej, lecz młodzieży wiejskiej. Młodzież wszystkich środowisk czyta więcej niż dorośli. Kontakt z literatura jest przywilejem i obowiązkiem młodzieży. Okres szkolny można by ująć niejako przygotowawczy, ale jako okres obowiązkowego i wszechstronnego jak nigdy potem **życia kulturalnego.** Cała sztuka w tym, aby szkoła potrafiła utrwalić i przedłużyć nawyki nabyte w tym okresie.

Toteż po zniesieniu ludomańskiej cenzury— cała literatura stanęła przed wsią w sensie możliwości. Dziś — nie miejsce tu na ocenę tego faktu — odrzucamy raczej w ogóle rodzaj literatury dydaktycznej, uważając go za namiastkę beletrystyki, a pragniemy, aby chłop czytał wszystko, a zwłaszcza wybitnych współczesnych pisarzy. W powiatowych miasteczkach afisze ogłaszają, że ze swoimi czytelnikami rozmawiać będą tacy a tacy znakomici...

Maksymalizm postulatów jest o tyle niepokojący, że nie określa się **funkcji książki** w całokształcie życia, w jego polityce, lub mówiąc oględniej — kierunku.

Należy wierzyć w kulturę i literaturę, ale nie w ten sposób, aby sądzić, że każde czytanie jest czymś społecznie pozytywnym. Istniejące biblioteki wiejskie mają typy czytelników chwytających do czytania wszystko, cokolwiek im się poda: powieść, popularne dzieła naukowe, podręcznik introligatorski, poezje. Są też czytelnicy wybredni, którzy czytają tylko to lub owo: tylko powieści historyczne i podróże lub tylko powieści z wątkiem miłosnym. Jasne jest, że dla czytelników jednych i drugich książka ma zupełnie różne znaczenie.

Te dość chaotycznie narzucające się tu trudności problemu mało lub prawie wcale nie zbadanego doprowadzają do wniosku, że powstanie socjologicznego warsztatu badawczego dla problemu czytelnictwa jest dziś niezbędne. Praktyczne usiłowania i próby „Czytelnika" budzą szacunek i uznanie, ale relacji pisarzy, którym powierzono akcję badawczą czytelnictwa na wsi w żadnym wypadku nie można uznać za materiał faktyczny. Drugi wniosek musi być skierowany znowu przeciwko publicystyce zajmującej się życiem kulturalnym prowincji. Poza zespołem „Wsi", którego dorobek pomija się w dyskusjach ogólnych lub bagatelizuje — publicyści widzą, jeśli widzą, tylko płaski, ahistoryczny obraz wsi bez perspektywy na dzieje kultury wsi. Monografia J. Chałasińskiego „Młode Pokolenie Chłopów" — w części teoretycznej prosi się o rewizję. Konińskiego „Pisarze Ludowi" — o pełniejszy komentarz socjologiczny.

Wraz z potrzebą praktycznego upowszechniania kultury i książki na wsi stajemy wobec konieczności stworzenia i dostatecznego wyposażenia warsztatu badawczego zagadnień kultury wsi. Jak dotąd seminaria socjologii istniejące na paru uniwersytetach — nie wystarczają.

Maksymalizmowi postulatów i ambicji towarzyszy minimalizm teoretyczny i metodologiczny. Dysproporcję tę trzeba nazwać po prostu dyletanctwem.

Zdarza się, że publicystyka przoduje nauce, że szybciej orientuje się w aktualnej problematyce życia. A jednak na prawdziwie rzeczowy, instruktywny artykuł o czytelnictwie — przyjdzie nam dość długo poczekać.

4. CUDA ŚW. GENOWEFY

„Ewolucję czytelnictwa, zmieniania się funkcji, jakie książka pełni w życiu młodzieży wiejskiej, można zrozumieć tylko na tle życia zbiorowego wsi i młodzieży wiejskiej oraz na tle przeobrażeń społeczno-kulturalnych, jakie się tu dokonują".

Wydaje się, że ta teza metodologiczna z III t. „Młodego Pokolenia Chłopów" Chałasińskiego mogłaby stać się podstawą i dla teorii i dla praktyki naszego zagadnienia. Statystyki czytelnicze okazałyby się przydatne tylko wówczas, gdyby zostały odczytane przez socjologa w myśl założenia o odpowiedzialności między systemem kulturalnym pojętym jak najszerzej a gustami czytelniczymi.

Typ literatury, jaka najpierw dotarła na wieś, był właśnie wyznaczony przez parafialny system kultury; była to literatura jarmarczna, straganowa. Cuda św. Genowefy i Proroctwo Michaldy Królowej Saby, kupowane na odpustach, znajdujące wydawców w sławnych miejscach odpustowych np. w Częstochowie — w masowych nakładach o jakich marzy „Czytelnik" — były zaczytywane na strzępy. Była to literatura uniwersalna, kosmopolityczna, chodząca w dosłownych przekładach po wszystkich językach. Czytelnik polski np. znajdował w opisie sądu ostatecznego wróżbę zachowania od ruiny jednego, jedynego miasta — pobożnej Pragi.

Literatura ta, której przecież nie sposób nie przyznać ważnego miejsca w historii czytelnictwa na wsi, nie apelowała do chłopa-gospodarza lub obywatela, skoro nie był ani jednym ani drugim. Apelowała do parafianina. Zarówno wzniosła mistyka jak i brednie sybilliczne podtrzymywały ambonę, z której padały zasady tego samego systemu. Irracjonalizm, cudowność — wszystko to służyło trwałości ustroju pańszczyźnianego, godziło się z irracjonalizmem „ludowej kultury", w którym pogaństwo zostało bez zasadniczej zmiany wtopione w chrześcijaństwo.

Funkcja książki jako gwarantki panującego systemu kulturalnego — (odziedziczona zresztą zapewne po wędrownych dziadach i bajarzach, stanowiących przecież instytucję kulturalną poprzedzającą biblioteki) — wyznaczyła także formę literatury dla ludu. Trzeba było wykorzystać koleinę, przez jarmark wepchnąć książkę na wieś. Taki pan Jan ze Świsłoczy zajmuje się właśnie krobeczkowym (detalicznym) handlem, chodzi po jarmarkach. Z przygód jego, spotkań i nauk wysnuwa się powieść tego samego typu co „Klub Pickwicka" Dickensa, tylko całkiem na serio.

Autorki książek dla ludu w I połowie XIX wieku i tytułami podkreślają rolę tej instytucji, w której utarte drogi chciałyby wejść ze swoim towarem. Julia Wojkowska pisze „Dwie książki, które stary Wojciech pisze na jarmarku".

Nowym towarem sprzedawanym w starych krobeczkach była nowego typu hagiografia patriotyczna. Oto jak „Katolik" (r. 1868) reklamuje ten świeży towar: „Szwedzi w Lędzinach" przez K. Miarkę. Cena 5 gr. Jest to nader piękna i zajmująca powieść, zachęcająca do bogobojnego życia i do szanowania kapłanów".

Opowiadania historyczne Miarki, Grajnerta, Chociszewskiego, Gregorowicza (pseud. Janek z Bielca), wreszcie Prószyńskiego (Promyka) i Siemieńskiego odwoływały się już do chłopa — nie tylko parafianina, ale — obywatela, i przygotowywały na wsi miejsce, które tak niepodzielnie prawie miał zająć Sienkiewicz.

Bynajmniej nie usunął on jednak św. Genowefy. Powodzenie patriotycznej hagiografii na wsi i trylogii było wprawdzie wyższego rzędu, opierało się na szerszej podstawie związku z grupą — narodową i choć nie budziło społecznej świadomości wsi, było bardziej rzeczowe, niż tamto. Niemniej sensacja, egzotyka, wszelka anormalność i wyjaskrawiona naturalność" literatury już nie odpustowej a po prostu brukowej choćby z najszlachetniejszym moralem, przedłużały cudowny żywot św. Genowefy, niezakończony do dziś, a przez niektóre masowe wydawnictwa ciągle podtrzymywany.

5. KALENDARZ ROLNICZY

„O obowiązkach uwłaszczonego wieśniaka i o doskonaleniu przemysłu u nas" (czytaj: rzemiosła) — można było pisać w „Zorzy" Grajnerta w r. 1866. Charakterystyczne, że to pismo, jak i niektóre inne, adresowane było do ludu miejskiego i wiejskiego razem. Lud miejski oczywiście to rzemieślnicy, rękodzielnicy, którzy już w polskim kapitaliźmie zaczęli zajmować miejsce średniej klasy. Moralizm tych pisemek, a wkrótce i książek przeznaczonych dla tego średniego stanu, do którego i kmieci uwłaszczonych zaliczono — mieścił się znowu w dawnych krobeczkach pana Jana — nie przestał być chrześcijański dopasowując się do przekształcającego się ustroju gospodarczego. Wyjątki z pism Franklina, przedrukowywane dla ludu, to był nowy katechizm drobnego kapitalizmu, w którym wysunięto na czoło cnoty: trzeźwość, oszczędność, pracowitość. „Kmieć i rzemieślnik" — to tytuł takiego moralnego opowiadania, czyż nie w burżuazyjnych wymiarach wariant hasła sojuszu chłopsko-robotniczego?

Ruch polityczno-gospodarczy na wsi, którego przejawem była np. działalność Towarzystwa Kółek Rolniczych, wysunął problem dochodowości gospodarstwa chłopskiego, stworzył i utrwalał społecznie jakiś ideał dobrego gospodarza... Potrzebna mu była nie tylko literatura fachowa rolnicza, ale i powieść, powieść o działaczu i powieść o awansie społecznym przez dobrobyt i znaczenie wśród swoich. Zapotrzebowanie na powieść tego typu jest dziś jeszcze na wsi, jak wynika z doświadczeń oświatowców i z cytowanej już ankiety „Jakiej powieści chce wieś" — najsilniejsze. Czytelnicy wiejscy projektują schematy powieściowe według wzoru: biedny, pogardzony chłopiec, zajmujący najniższą rangę wśród stanowisk na wsi — pastuch czy świniarek, wypędzony ze wsi, dzięki osobistemu sprytowi, pracowitości, oszczędności i uczciwości dorabia się w świecie fachu i znaczenia, wraca, zakłada warsztat, żeni się z piękną córką najbogatszego gospodarza, choćby samego młynarza, do której jeszcze jako chłopak tylko z daleka wzdychał, na wsi — nie dążąc do żadnych zmian w jej ustroju — przeprowadza wiele ulepszeń, uczy, leczy, radzi, wspomaga, zdobywa nie tylko dla siebie szczęście, ale i dla swoich — dobrobyt. A jest to przecież „ze świniarka — dobroczyńca" — jak nazwano jedną z projektowanych powieści.

Nawiasem mówiąc — podkreślono już w artykule krytycznym o powieści Józefa Mortona „Inkluzowe wiano" jej zbieżność w zasadniczej partii ze schematem tego „zamówienia społecznego", wynikające stąd ideologiczne wątpliwości i artystyczna trudność.

Zresztą i czytane na wsi powieści Rodziewiczówny w innych społecznych rejestrach, ale schemat ten jakoś wypełniają.

Jest to schemat — że wrócimy z uporem do postawionej tezy z systemu kultury „kmiecia i rzemieślnika", z systemu Kalendarza Rolniczego.

Byłaby kolej na jakąś literaturę z pod nowego znaku: sekcji branżowej czy spółki maszynowej ZSCh. Zapewne i losy ludzkie i ambicje i sprawy prosiłyby się tu o nowe schematy. Ideał dawnej młodzieży wiejskiej: powrotu na wieś, podnoszenia jej przez poprawki ustrojowe i cnoty katechizmu franklinowskiego lub rodzinnego agraryzmu — musiałyby ustąpić wobec nowych zadań młodej wsi: wiązania się z miastem i ruchem robotniczym nie tylko w technice, w uzbrojeniu życia i pracy, ale i poza wsią — przemysł, nauka.

Ale to byłyby już „wolne żarty" lub nowe a niezamierzane wycieczki przeciwko literaturze współczesnej.

Problem zaś dla praktyków przedstawia się mniej więcej tak: w okresie ustrojowego i potencjalnego dotarcia wsi do kultury narodowej w całej jej rozciągłości — **na jakiej zasadzie** dokonać wyboru książek, dla bibliotek gminnych, aby weszły one na wieś w funkcji nowocześniejszej kulturalnie i ustrojowo, niż Cuda św. Genowefy, Szwedzi pod Lędzinami i Kalendarz Rolniczy?

Artykuł ten miał być tylko wstępem do problemu.

Anna Kamieńska

JERZY PYTLAKOWSKI

P A S E K *)

PRZEDE WSZYSTKIM chciałbym wiedzieć, która jest godzina. Teraz, gdy ostatecznie drzwi celi zatrzasnęły się za mną — strażnik trzy razy przekręcił klucz w zamku, zaryglował dwie pionowe zasuwki, jedną poprzeczną i założył żelazną sztabę — nic mnie nie interesuje, pragnę tylko znać godzinę. Oczywiście nie mogę zaspokoić tego w gruncie rzeczy niewinnego i łatwo zrozumiałego pragnienia, nie posiadam bowiem zegarka.

Długokęcki, niski pucołowaty blondyn o młodej twarzy — widziałem go jeszcze przed chwilą, najpierw w „tramwaju" później w kancelarii i wreszcie w korytarzu — zniknął z mych oczu, pogrążył się w ciemnościach, w tych samych, które napełniają całą celę. Wątłe światło latarni podwórzowej wpadające przez małe, zakratowane okienko, pionowe i poziome szpary w drzwiach, które przepuszczają blask z korytarza oraz jasne oko otwierającego się od czasu do czasu judasza, nie mogą utwierdzić mnie w przekonaniu, że Długokęcki siedzi obok, na ławce, bądź też stoi pod którąś ze ścian celi. Ja sam nie mam czasu szepnąć „czy pan tu jest?" — jeszcze nie znam jego nazwiska — jestem bowiem zajęty odgadywaniem godziny, która rządzi obecną wieczorną chwilą. Lecz oto sam podchodzi do mnie — czuję jego oddech na mej twarzy i dotyk dłoni na ręce. Drgnąłem cały — tak bardzo zaskoczył mnie i jego oddech i bliskość.

— Długokęcki jestem — powiedział zapewne w ten sam sposób, w jaki mówił to dziesiątki razy na zabawie, w biurze czy w salonie.

Mruknąłem w odpowiedzi moje nazwisko i czym prędzej pozbyłem się uścisku jego ręki. Dłoń miał lepką i zimną — wydało mi się, że dotyka mnie człowiek umierający na suchoty.

Długokęcki także nie posiada zegarka. Przez chwilę żywiłem nadzieję, że właśnie on będzie go miał. Skoro palił papierosy w „tramwaju"—otrzymał to wyróżniające go pozwolenie — i jeszcze tutaj, w korytarzu, kłócił się z oddziałowym, żeby mu zostawiono paczkę egipskich, sądziłem, że uratował zegarek. Nie mogłem widzieć przecież, jak zdawał go w kancelarii. Stałem wtedy wpatrzony w ścianę, z rękami podniesionymi do góry.

O Chrobaku nie ma co mówić,—jeśli w ogóle posiadał kiedykolwiek zegarek, w co zresztą wątpię, to i tak teraz z pewnością go nie ma. Chrobak nie przedstawił mi się, lecz mimo to znam jego nazwisko. Siedział na Alei Szucha w tej samej separatce co ja. Trzy razy badano go dzisiaj. Trzy razy przychodził gestapowiec, mocował się z z kratą i wołał:

— Chrobak!

Za każdym razem Chrobak wstawał z krzesła i szedł posłusznie do kraty, na korytarz i gdzieś dalej. Patrzyłem za nim z lękiem i radością. Żal mi było tego człowieka, który swym powolnym, niezdarnym zachowaniem się aż prowokował baty, a cieszyłem się, że to nie mnie wołają. Radość moją jak i współczucie zwiększały kolejne powroty Chrobaka. Każdy był znaczony nowymi „zdobyczami": guzami, sińcami i ranami.

Obecnie Chrobak błądzi po celi, coś niezrozumiale mruczy do siebie pod nosem, potrąca ławkę, mnie i Długokęckiego. Chciałbym zapomnieć o jego istnieniu, które jeśli chodzi o zaspokojenie głodu godziny jest bez znaczenia. Jednak on nie pozwala mi na to. Jego mrukliwa ruchliwość, za pomocą której zwraca na siebie uwagę dokucza mi.

W kancelarii, gdy oddawałem zegarek, nie spojrzałem na niego. Mój Boże, co za głupota i lekkomyślność! Po prostu wtedy nie przyszło mi to do głowy, teraz zaś wiele dałbym, żeby móc naprawić moje uprzednie niedopatrzenie. O ile łatwiej by mi było zorientować się w czasie, gdybym wtedy tylko zerknął na leżący na biurku Kondratowicza zegarek, stanowiący przecież, bądź co bądź, moją własność. Ale trudno: stało się. Muszę obliczać na palcach.

Wyjazd z Alei Szucha — godzina piąta. Jak długo mogła trwać podróż? Wieziono nas budą pawiacką, która odtransportowywała więźniów z popołudniowego przesłuchania. Spoglądałem na okryte wieczornym mrokiem ulice i utwierdzałem się w przekonaniu, że wiozą mnie na Pawiak. Brama zazgrzytała, auto zatoczyło półkole na podwórzu i stanęło. Jak długo to trwało? No, tak na oko, dwadzieścia minut. U zbiegu Nowego Świata i Alei był zator. Czekaliśmy.

*) Fragment powieści pt. „Życie przed śmiercią". Akcja rozgrywa się na Pawiaku w czasie ubiegłej wojny.

Urzędnicy wracali z biur. Dziewczęta i chłopcy szli do kawiarni. Mgła opadała na miasto. Przechodnie walczyli z trwogą i spoglądali ponuro w głąb auta. Nie mogli nas widzieć. Było ciemno. Ja ich widziałem. Długokęcki, Chrobak i inni także. My widzieliśmy miasto i ludzi. Nas nikt nie widział.

Tak, to wszystko trwało najwyżej dwadzieścia minut. Później ustawiono nas w rażącym świetle reflektora. Najpierw wprowadzono do gmachu starych więźniów. My trzej, świeżo upieczeni, czekaliśmy. Wreszcie i nas popędzono po schodach. Przeszliśmy przez westybul i dalej korytarzem, w lewo, do kancelarii.

Boję się, że długość tych chwil będę oceniał bardzo subiektywnie, gdyż dla mnie ciągnęły się one w nieskończoność. Były nasycone niespokojnym oczekiwaniem, dzikie jakieś, niespotykane, nieznajome, obrzydliwe. Czekałem na coś decydującego, co według mnie koniecznie i zaraz musiało nastąpić, uważałem je za nikły, niepotrzebny wstęp. Nudne były i udręczające. Zamknę je w piętnastu minutach. A więc godzina piąta minut trzydzieści pięć.

W kancelarii ustawiono nas z rękami podniesionymi do góry, twarzami do ściany. Staliśmy tak... nie wiem jak długo. Oczywiście dokładność obliczenia musi szwankować. Liczmy, no... piąta pięćdziesiąt.

Staliśmy tak nieruchomo, zapatrzeni w ścianę, słuchając uderzeń bilardowych kul o siebie i niemieckiego żargonu. To gestapowcy grali w bilard. Długokęcki pierwszy otrzymał w głowę cios kijem bilardowym. Jeszcze teraz pamiętam zdziwione i zaskoczone spojrzenie jego błękitnych oczu. Najwidoczniej nie rozumiał, czego od niego żądają. Niemcy zauważyli jego zdumione przebudzenie i śmiali się głośno. Wyratował go z opresji Kondratowicz, który powiedział spokojnie i nad wyraz grzecznie:

— Proszę podejść do mnie i podać personalia.

Słyszałem jakieś szmery, później tupot kroków. Bęc! Dostałem po łbie. Gram w bilard, więc wiem, że tak silny cios — aż gwiazdy stanęły mi w oczach, a czołem uderzyłem o ścianę — nie jest potrzebny, żeby karambol się udał. Gestapowcy rechotali, a ja zdawałem dokumenty, zegarek, pieniądze Kondratowiczowi, który spoglądał na mnie z wyraźnym współczuciem. Kondratowicza poznałem dużo później. Był on jednym z „założycieli" Pawiaka. W więzieniu nauczył się niemieckiego i otrzymał funkcję kancelisty. Teraz blady i spuchnięty trzymał w ręku kartkę od referenta i znał już lepiej moją przyszłość niż ja sam. Wiedział, kim jest mój referent, mógł mnie więcej obliczyć jak długo utrzymam się na Pawiaku, kiedy może mnie wykończyć egzekucja lub kiedy zostanę przeznaczony na wywózkę. Czytałem w jego smutnym, poważnym spojrzeniu wiedzę o mnie, lecz nic pocieszającego nie mogłem z niej zaczerpnąć dla siebie.

Podpisałem rewers na oddane rzeczy — na wyraźne żądanie Kondratowicza moje złote wieczne pióro określiłem jako stalowe — i wyszedłem na korytarz, odprowadzony przez gestapowca.

Jest godzina... no... szósta minut dziesięć.

Na korytarzu już czekano na mnie. Ukrainiec w mundurze esesowca interesował się moim przybyciem do tego stopnia, że gdy w końcu zjawiłem się, polecił mi rozebrać się do naga. Pełen wewnętrznych skrupułów, z ociąganiem, przystąpiłem do zrzucenia z siebie ubrania i bielizny które prawie dwadzieścia cztery godziny temu wkładałem jeszcze w moim mieszkaniu. Zdjąłem marynarkę i spodnie, przedtem wywróciwszy kieszenie. Ukrainiec uważnie obserwował ruchy moich rąk. Korytarzowy przestał biegać po korytarzu, a zabrał się do przeglądania drobiazgów, wyrzuconych przeze mnie z kieszeni. Pudełko z zapałkami, papierosy, klucze, scyzoryk, grzebień, lusterko, chusteczka do nosa, notes, łyżka do butów — wszystko to utworzyło niewielką stertę, małą rupieciarnię. Korytarzowy nachylił się nad nią. Ukrainiec patrzył uważnie na korytarzowego i na przedmioty, które do niedawna stanowiły moją własność, a które ja nadal uważałem za swoje, najniesłuszniej zresztą. Nawet Niemiec przestał spacerować i spoglądał na Ukraińca. To potrójne zainteresowanie okazywane według mnie głupstwom było tak zaraźliwe, że ja także utkwiłem wzrok w doskonale mi znajomych drobiazgach. Jednak nie było mi dane robić to samo, co oni. Ukrainiec popchnął mnie brutalnie w kierunku otwartych drzwi, przez które buchało jaskrawe światło. W niewielkiej celi, gdzie znalazłem się, obowiązki pana domu pełnił biało ubrany więzień sprawujący funkcję fryzjera. Fryzjer bez żadnych ceremonii postawił mnie na stołku i kolejno kierował światło ruchomej lampy na owłosione miejsca mojego ciała. W milczeniu — nie wiedziałem jeszcze, raczej przeczułem, że do moich nowych obowiązków należała jak najdalej posunięta wstrzemięźliwość w mowie — poddawałem się tej niezrozumiałej dla mnie iluminacji, a następnie, na wyraźne żądanie fryzjera, zmieniłem pozycję — usiadłem na stołku. Rozpoczęło się strzyżenie głowy. Fryzjer — jak się później dowiedziałem — nazwiskiem Kowalski, pytał mnie szeptem o szczegóły aresztowania. Nie odczułem ciekawości w tych indagacjach, a tylko pragnienie nawiązania tym sposobem łączności z wolnym życiem. Opowiadałem więc fryzjerowi Kowalskiemu, który przebywał w więzieniu już dwa lata, jak wczoraj koło północy zbudziło mnie głośne dobijanie się do drzwi, jak z kolei obudziłem przygłuchą matkę i poleciłem jej otworzyć, jak sam narzuciwszy pośpiesznie ubranie wyszedłem na balkon i zetknąłem się z wymierzoną we mnie lufą automatu. W trakcie tej melancholijnej opowieści straciłem moje włosy. Gdy skończyłem mówić, fryzjer mruknął:

— Już.

I w tej chwili poczułem chłód w całym ciele. Zmarzłem, zdrętwiałem właśnie wtedy, gdy dotknąłem dłonią mojej czaszki. Spojrzałem na fryzjera i zrobiło mi się wstyd mojej nagości. Wybiegłem z celi szczękając zębami i myśląc o moich pięknych, tak starannie pielęgnowanych, puszystych, jasnych włosach, które teraz leżały dookoła stołka na czerwonej posadzce.

Kowalski wyszedł za mną i wciąż obrzucał moją głowę zadowolonym i pełnym sympatii spojrzeniem. Najwidoczniej był usposobiony przychylnie do mnie, nowego więźnia. Podejrzewałem nawet, że cieszy się, iż widzi mnie obok siebie oraz że pragnąłby widzieć wszystkich ludzi przechodzących właśnie przez ten korytarz i przez jego pracownię.

Szybko ubrałem się, gdyż żądano tego ode mnie. W ciszy źle oświetlonego, więziennego korytarza, przegrodzonego kratami, głośne krzykliwe domaganie się pośpiechu przez Ukraińca i korytarzowego było niezmiernie nużące. Chciałem się wyzwolić od tych wrzaskliwych, budzących we mnie wstręt okrzyków i śpieszyłem się, choć normalnie inaczej zareagowałbym na wymysły i poszturchiwania. Jestem przecież wysokim, barczystym mężczyzną i kiedy indziej takich dwóch mędrków z łatwością nauczyłbym szacunku dla mnie. Wtedy jednak wiedziałem, że nie wolno mi stanąć w mojej obronie.

Gdy już okryłem moją nagość, stwierdziłem brak drobiazgów, którymi przed chwilą tak namiętnie zajmowali się strażnicy. Nic dziwnego: wciąż leżały koło ściany. Schyliłem się, aby je podjąć, lecz, niestety, nie zdołałem uczynić tego. Ukrainiec kopnął mnie tak, że omal nie upadłem. Krzyczał przy tym bardzo głośno coś, czego nie rozumiałem. Szedłem, a on za mną, choć nie wiedziałem czy mam iść. W ten sposób, nieświadomie, napierany przez Ukraińca wszedłem do celi.

Drzwi zamykają się za mną i jest godzina... Jak długo mogło trwać to wszystko? Chyba... trzydzieści.. nie więcej: czterdzieści minut. A więc drzwi celi zamykają się za mną i jest godzina szósta minut pięćdziesiąt.

Jak długo znajduję się w celi?

Usiłuję oznaczyć słupy graniczne płynącego czasu. Oddycham piwnicznym zaduchem. Chrobak potrąca ławkę, na której siedzę. Światło padające przez okienko zasłaniają jakieś cienie. Po korytarzu ktoś idzie, głośno tupiąc. Długokęcki mówi: „jestem Długokęcki". I nic, nie mam nic więcej do oznaczenia biegnących chwil. Jestem przerażony: tutaj nic dzieje się nic, na czym mógłbym oprzeć moje wyliczenia.

Kiedy Długokęcki odezwał się do mnie?

Wczoraj na pewno nie, gdyż wczoraj nie było mnie tutaj, zaś słowa wypowiedziane przez niego padły przecież tutaj.

Tutaj. Jestem tutaj i... czas przestał płynąć. Znajduję się w absolutnej próżni, gdzie on nie dociera. Jestem pozbawiony go, podobnie jak moich kolegów, przyjaciół i nawet obcych, spotykanych w tramwaju, na ulicy ludzi.

Godzina ósma rano — biuro, dwunasta — obiad, piąta — koniec pracy. A między tymi kłamrami spinającymi dzień, minuty i godziny, liczne, jakże liczne i zapełnione czynnościami, wrażeniami — wieloma. Byłem uregulowany i bogaty. Żyłem tak, jak każdy cywilizowany człowiek, to znaczy z zegarkiem w ręku. A teraz? Z pewnością jest już po siódmej, a może nawet po ósmej?...

Bardzo mi zależy na zsynchronizowaniu tutejszego, więziennego czasu z tamtym, wolnościowym. Co robiłem w zeszły piątek o tej porze? To znaczy kiedy? O godzinie ósmej? Kąpałem się w domu. Pamiętam, lecz...

Znów ktoś mnie potrąca. Nie ktoś, tylko Chrobak. Długokęcki siedzi spokojnie na ławie nieopodal mnie. Nikogo więcej w celi nie ma. A więc z pewnością Chrobak. To samo spotyka Długokęckiego, gdyż słyszę jak mruczy:

— Co pan? Co?

Chrobak nic nie odpowiada, tylko dalej tłucze się po celi. Widzę jego cień, słaniający się chwiejny i ciągły.

Musiałem patrzeć na niego. Gdy niknął w ciemnej części celi, czekałem w naprężeniu chwili, aż znów wypłynie ku mnie, zbliży się i zawadzi o moje nogi lub obejmie ramiona. Gdy to już się stało, otrząsałem się, odsuwałem od niego. Zasłaniałem rękami twarz przed oddechem płynącym ku mnie, jakby był bardziej cuchnący niż skisły, kwaśny, piwniczny zaduch, panujący w celi.

I oto, co mnie absorbuje. Tydzień temu o tej samej porze kąpałem się. Tamto... Naprawdę nie czuję w sobie większego zainteresowania dla tamtych chwil. Jest mi niewymownie smutno. A więc już rzeczywiście jestem więźniem?...

No, teraz to Chrobak przeholował. Potrącił ławkę tak mocno, że Długokęcki rozciągnął się na podłodze jak długi.

— Czyś pan zwariował? — szepcze rozwścieczony.

Chrobak ciągnie na mnie.

— Czyś pan zwariował? — oburzam się z kolei.

On jednak nie zwraca na moje słowa żadnej uwagi i najbezczelniej w świecie zaczyna mnie obmacywać. Odpycham go, on znów napiera i tak szamoczemy się.

— Czego pan chce?! — mówię głośno. Oko Judasza otwiera się. Już jesteśmy spokojni.

— Mój pasek — sepleni Chrobak.

— Co? — pytam.

— To wariat — zwraca się do mnie Długokęcki. — W gestapo powiedzieli, że zaraz mnie zwolnią. Tymczasem pan widzi, co się dzieje? Jestem skazany na towarzystwo wariata. Jak Boga kocham, nie wiem, co to wszystko znaczy. Tam pozwolili mi palić papierosy i powiedzieli, że zaraz zwolnią, a tu zabrali ostatnią paczkę „Egipskich" i zamknęli w celi. Czego się pan znów pchasz? — warknął w stronę Chrobaka, który wznowił natarcie właśnie na niego.

— Pan ma mój pasek — bąknął Chrobak.

— Ja? — Długokęcki oniemiał.

— Ja nie mam. Więc chyba pan, albo pan — zwrócił się do mnie.

— Idź pan do diabła! — nie wytrzymałem.

— Miałem pasek, nie mam paska, gdzie mój pasek? — molestował wznawiając wędrówkę.

— Trzeba zastukać na strażnika — Długokęcki przysunął się do mnie — i zażądać, żeby go zabrano. On nas tu wymorduje...

Miałem na tyle poczucia rzeczywistości, że powiedziałem:

— Daj pan spokój. Nie wiadomo jak strażnik zareagowałby na pańskie żądanie. Być może, wybiłby panu zęby...

— Naprawdę?

— A co pan myśli? Ich nie wolno niepokoić naszymi błahymi sprawami.

— Oczywiście — przyznał mi rację. Ale to jakiś niebezpieczny osobnik.

— Dlatego zamknęli go — zażartowałem.

Zastanawiał się przez chwilę nad tym, co powiedziałem. Wreszcie spytał:

— A nas dlaczego?

Już miałem mu odpowiedzieć, gdy uwagę moją zwróciły na siebie hałasy dochodzące z korytarza. Ktoś kogoś poganiał, ktoś szybko szedł, ktoś krzyczał. Kroków było coraz więcej. Cichły. Wybuchały klątwy. Jakieś niegłośne rozmówki. Zbliżyłem się do drzwi Długokęcki uczynił to samo. Nie wiedziałem, nie rozumiałem, co się dzieje na korytarzu. Jakiś niepokój wiał stamtąd, jeszcze większy niż mój.

Znów kroki się ożywiają. Znów słyszę szepty. Teraz brakuje mi przede wszystkim światła. Duszą mnie ciemności. Jestem przerażony nimi. Wlewają się przez oczy, napełniają mnie, rozrywają. Tonę i już mam wołać pomocy, gdy słyszę głośne słowa, wypowiedziane na korytarzu po polsku:

— To ty uciekałeś?

Oddycham. Czuję się raźniej.

— Uciekałeś, co?

Dlaczego nikt nie odpowiada? Nie, nikt nie odpowiada. Także już nikt nie pyta. Słyszę jeszcze oświadczenie, rzucone, jakby od niechcenia, „to za ucieczkę", i... odpowiedź...

Tak, biją kogoś. Nawet Chrobak tuli się do drzwi. Poprzez ciemności czuję spojrzenia moje, Długokęckiego i Chrobaka. Obrzucamy się nimi.

Po chwili porywa nas muzyczny rytm uderzeń. Padają one w kompletną ciszę, która w międzyczasie nastała. Są uroczyste i dostojne. Wchłaniamy ich dźwięki, staramy się nie uronić z nich ani jednego szmeru. Nagle ogarnia mnie silny głód Czuję, że również Długokęcki i Chrobak czekają na coś. Wskazuje na to wyraźnie ich zachowanie się. Po prostu tulą się do drzwi i milczą. O co mnie i im chodzi? Doprawdy, nie wiem. Ale oto otrzymuję odpowiedź. Także Chrobak i Długokęcki odetchają z ulgą. Doczekaliśmy się tego, na co czekaliśmy w krańcowym naprężeniu. Wreszcie bity krzyknął: raz, drugi i trzeci. Krzyk ten był nieforemny, jak zdeptany kapelusz, wypadł zza drzwi i dotarł do nas. Pławiliśmy się w nim aż do utraty tchu. Już byliśmy wypoczęci. Ta cisza nas tak zmęczyła.

Później bito kogoś za plecak i lornetkę, znalezione w mieszkaniu podczas rewizji. Ja i Długokęcki poczuliśmy znużenie. Oddaliliśmy się od drzwi i usiedliśmy na ławce. Tylko Chrobak nadsłuchiwał nawet wtedy, kiedy wszystko już ucichło. W końcu, gdy pauza w biciu przestała być nią i zamieniła się w stan trwały, powstał, uplasował się po środku celi i westchnął:

— Pasek pasek, mój pasek...

Nagle zabłysło światło i prawie równocześnie zazgrzytał klucz w zamku. Odpadły sztaby i zasuwy, drzwi się otworzyły. Instynktownie zerwaliśmy się na nogi. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że tego rodzaju zachowanie należy do naszych najważniejszych obowiązków.

W drzwiach ukazali się strażnicy i tłum nowych więźniów, którzy pędem wbiegli do celi. Zatrzaskując drzwi, korytarzowy krzyknął:

— Tylko cicho być, ch...e!

W małej jednnoosobowej celi jest nas teraz dwudziestu mężczyzn. Nowoprzybyli są wyraźnie oszołomieni. Pozostawiono nam światło. Nowi spoglądają bezrozumnie na żarówkę, wiszącą nad drzwiami. Niektórzy jakby od niechcenia zajmują miejsca na ławce. Nie zdając sobie sprawy, że postępują najrozsądniej, gdyż nie wszyscy zmieszczą się na niej, a równie trudno i niewygodnie jest spędzić całą noc w pozycji stojącej jak siedząc lub leżąc na wilgotnym, zimnym betonie.

Widzę Koziołowskiego i Rudka. Oni także spostrzegli mnie. Skinęliśmy sobie głowami. Nie podchodzą jednak do mnie. Dopiero gdy robię im miejsce obok siebie, siadają. Spoglądają na mnie niepewnie.

— Co to się stało? — pyta Rudek.

— Porucznika biją — mówi płaczliwie Koziołowski.

— Pst — mruczę. Koziołowski rozgląda się dookoła, wyraźnie przestraszony.

— Widziałem Stępnia, Orzechowskiego, Lisieckiego i kilku innych, których nie znam — oświadcza Rudek. Patrzy przy tym surowo na mnie. Wzruszam ramionami.

— Z domów was wzięli? — pytam.

— Tak — wzdycha Koziołowski. — Jeszcze nie spałem... Moja matka...

Widzę łzy w jego oczach. Koziołowski ma dopiero osiemnaście lat.

— A ty? — zwraca się do mnie Rudek.

— Dwadzieścia cztery godziny przed wami.

— Zimno w głowę — mówi Koziołowski i nakłada czapkę. Nie wierzę mu: bardziej go męczy brak włosów niż chłód. Lecz idę za jego przykładem, a inni także. Po chwili wszyscy mamy na głowach kapelusze i czapki.

Dopiero teraz mogę stwierdzić z całą dokładnością, jak bardzo Chrobak jest pobity. Prawego oka zupełnie nie widać spod spuchlizny. Z tyłu głowy, nie wiele wyżej karku, pęcznieje guz wielkości dużej gruszki. Na lewym uchu czerwieni się skrzep krwi. Cała twarz Chrobaka posiniaczona i poznaczona pręgami czyni wrażenie maski teatralnej, tak bardzo bowiem jest nienaturalna w swym zmasakrowanym wyglądzie. Mimo to Chrobak nie przestaje się wiercić. Przybysze, co prawda, wsiedli na niego, jednak bezskutecznie.

Łoskot otwieranych drzwi poderwał nas na nogi i uciszył. Wszedł wachman w towarzystwie korytarzowego. Wachman krzyczał. Uderzył w głowę pękiem kluczy stojącego najbliżej drzwi starszego pana.

— Zdjąć kapelusze i czapki! — zawołał korytarzowy. — Cóż to, Żydzi jesteście?!

Zgaszono nam światło. Ogarnął nas parny, smrodliwy mrok.

— Kogo jeszcze bili? — po chwili pytam Rudka.

Wskazuje młodego chłopca, siedzącego obok.

I teraz właśnie zjawia się Chrobak. Z którego kąta wypadł? Przysuwa się?...

— Bili? — mówi z nabożeństwem.

— Aj — młodzieniec nie chce rozmawiać na ten temat.

— Paskiem? — Chrobak nie daje się zbić z tropu.

— Co? — tamten nie rozumie.

— Bo mnie paskiem — zwierza się Chrobak. — Moim własnym paskiem. Klamrą. Celował w oczy, ale ja wyrywałem się. Własnym paskiem, ścierwa, po oczach. I teraz nie mam paska. Portki spadają...

I odtąd Chrobak uspokoił się. Przycupnął gdzieś w kącie i drzemał. W ogóle już nic się nie kleiło. Wszyscy milczeli, chociaż prawie nikt nie spał. Noc schodziła diablo powoli. Było duszno i zimno. Kibel przeraźliwie śmierdział. Tak, pierwsza noc na Pawiaku każdemu da się we znaki...

Jerzy Pytlakowski

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Kiedy profesor przestaje być formalistą?

I. CHARAKTER KSIĄŻKI I SPORU

NOWA KSIĄŻKA* profesora Borowego zasługuje na szczególną uwagę. Niewątpliwie jest to najbardziej wyróżniające się dzieło naszej powojennej polonistyki. Zawiera dokładny przegląd i ocenę polskiej twórczości poetyckiej XVIII wieku. Przynosi wiele zdobyczy zupełnie nowej erudycji. Z pewnością sięgać po nią będą odtąd wszyscy nauczyciele i studenci. Z tak fundamentalną książką trzeba się rozprawiać zasadniczo.

Nie mam zamiaru pisać w popularnym tygodniku recenzji metodologicznej. Chociaż książka w pełni zasługuje na długą i poważną dyskusję teoretyczną. Ale praca Borowego to nie jest abstrakcyjne studium teoretyczne. To jest książka żywa. Jej funkcją społeczną nie jest wyjaśnienie takiego czy innego oderwanego problemu. Jej funkcją społeczną będzie z pewnością szerokie oddziaływanie wychowawcze. Tak też została pomyślana i napisana.

To też moja recenzja nie będzie krytyką metodologiczną — a publicystyczną. Postaram się — może z przesadną dobitnością — obnażyć treść społeczną, intencje wychowawcze, zawartość propagandową książki Borowego.

II. DEFINICJA POEZJI

„Książka niniejsza, pisze Borowy, oparta jest na założeniu tradycyjnym, że poezji nie ma bez pierwiastków uczuciowych i wyobrażeniowych"... (str. 5). I dalej: „Nie zaprzeczam zresztą bynajmniej temu, co wielokrotnie stwierdzono, że literatura polska XVIII wieku jest w wielkiej swojej części dydaktyczna i intelektualistyczna, chłodna i sucha. Chodziło właśnie o wskazanie pasem, czy pasemek poezji, które przez obszary pisarstwa nauczającego, rozumującego i zimnego przecież przechodzą" (str. 4). I jeszcze: „Rozróżniam poezję..., której dzieła w indywidualny sposób poruszają nasze uczucie i stawiają przed naszą wyobraźnią jakieś sprawy czy obrazy o uniwersalnym charakterze"... (str. 9).

Ale dość cytat. Maria Rzeuska w „Odrodzeniu" polemizowała już z tymi założeniami autora.

Dla uzasadnienia owego stanowiska teoretycznego nie wystarczy zasłaniać się nawykiem i tradycją. Jedną z funkcji nauki jest właśnie zmienianie tradycyjnego obrazu świata. A Borowy nie uzasadnia swoich założeń, ani nie stara się o nowoczesną precyzję swoich podstawowych definicji. Niejasne jest i „pasemko poezji", niejasny i „pierwiastek uczuciowy", chociaż istotnie oswojeni jesteśmy z tymi metaforami za pośrednictwem różnych podręczników polonistycznych.

Ale przede wszystkim metodologicznie błędne jest takie formalistyczne stawianie problemu czym jest poezja „naprawdę", błędne jest ustalanie treści i zakresu pojęcia przez fenomenologiczny wgląd w jego istotę („Wesenschau" Husserla). Jest to może zrozumiałe na gruncie konwencjonalistycznej teorii nauki, ale konwencjonalizm uległ gruntownej krytyce w ciągu ostatnich 50 lat. Ustalanie pojęć systematycznych humanistyki a priori jest naukoznawczym nieporozumieniem. Jaką była „prawdziwa" poezja epoki oświecenia dowie się tylko przez historyczne zbadanie twórczości poetyckiej epoki oświecenia.

Dlaczego więc prof. Borowy jak na złość— przyjmuje a priori definicję „prawdziwej" poezji tak bardzo obcą okresowi, który bada? Dlaczego w epoce panowania specyficznego stylu poezji intelektualnej uważa właśnie poezję intelektualną za „nieprawdziwą"? Dlaczego uporczywie szuka dziury w całym i „pasemek" uczuciowości w stylu intelektualnym i dydaktycznym? Czyżby to była tylko fantazja, tylko nieporozumienie, tylko dziwaczność metodologiczna? Ależ nie!

Założenia, które przyjął profesor Borowy, pozwalają mu na odwrócenie hierarchii wartości. Pisarze nowatorzy postępowcy — ale intelektualni spychani są w dół jako „nieprawdziwi" poeci. Tak zostaje zepchnięta cała walcząca, społeczna, progresywna poezja XVIII w. Taki jest los Bohomolca, Krasickiego, Jasińskiego. Natomiast można windować w ocenie estetycznej do góry tych nielicznych poetów zakrystii, którzy dotąd skromne zajmowali miejsce w życiu literackim XVIII w. Wyrasta ksiądz Baka, Benisławska. Ich ubożuchna, tępa staroświecka treść zaczyna w oczach Borowego urastać do godności chluby kultury i poezji polskiej 18 w. Ponieważ nie da się obronić ubożyzny tej kantyczkowej treści, tego kruchtowego stosunku do świata, autor rozdyma swoje wielkości przy pomocy założonej definicji poezji. Bo Benisławska i Baka reprezentują ten „pierwiastek uczuciowy", owo wzruszenie religijne, które z ich wierszy ma czynić „prawdziwą" poezję XVIII wieku. Niestety nawet cytaty wybrane przez Borowego mówią jak bardzo prymitywna i płytka była ta uczuciowość, jak ciasny i konwencjonalny horyzont tych kantyczkowych i litanijnych uczuć.

Ale założenie swoje zrobiło. Otrzymaliśmy syntetyczny, bibliograficznie pełny obraz naszej poezji XVIII w. — ułożony wedle zupełnie fałszywej hierarchii wartości. Ale hierarchii celowej, politycznej. Obniża ona pisarzy postępu, wywyższa pisarzy ówczesnej reakcji szlacheckiego zacofania kulturalnego.

Nie trzeba wyjaśniać jakie efekty wychowawcze da dzisiaj tak napisana książka.

III. TYP ANALIZY

„Z prostszym i bardziej jednolitym zarazem językiem mamy do czynienia w Satyrach Naruszewicza. Oryginalność jego przejawia się głównie w zakresie słownictwa..." I tak dalej do końca. Cóż mówi analiza Borowego o Satyrach Naruszewicza? Czytajmy poświęcone im cztery strony druku. Zaczynają się charakterystyką języka polegającego na przytoczeniu szeregu (dobrze dobranych) przykładów świadczących o bogactwie słów „grubych", nawet karczemnych w pełnym pasji, jadowitym języku satyr. Drugi ustęp mówi o oryginalności tych wierszy tj. wskazuje tak zwane wzory literackie polskie i obce satyr. I wreszcie trzeci charakteryzuje uczuciowość tych wierszy. „Uczucie pojawia się... bądź w postaci gorzkiej, gryzącej ironii, bądź w postaci gwałtownego oburzenia, czasem nawet w postaci bezpośrednich wybuchów głuchej boleści". Ten typ zdania jest bardzo charakterystyczny dla metody analizy Borowego. Uzupełnia takie uwagi zwykle jeszcze apodyktycznym sądem o artyzmie — odmawiając dziełu cech artystycznych, jeśli zawiera zbyt wiele „dydaktyki" i kaznodziejstwa".

I daję słowo, że więcej z tej książki niczego się nie dowiecie o „Satyrach" Naruszewicza.

Czy rzeczywiście, pyta czytelnik, Naruszewiczowi chodziło tylko o soczyste słowa, odwzorowanie francuskich konstrukcji i wyrażenie grubych emocji? Czy istotnie nie liczy się w poezji to wszystko o czym myślał, do czego dobierał te jędrne zwroty, karczemne słowa?

Borowy stara się dostrzec i podkreślić w tych starych wierszach to co „dla nas" ma wartość artystyczną, co „nas" wzrusza i „na nas" wywiera wrażenie estetyczne.

„Wiek XVIII, pisze, był okresem pierwszego rozkwitu estetyki nowoczesnej, ukształtowały się też wtedy pojęcia estetyczne bardzo już bliskie naszym i szerzyły się nawet tam, gdzie na ogół panowały pojęcia odmienne". (str. 109).

Pomijam tu ważny fakt, iż nie umiałbym wskazać jakichś „naszych" pojęć estetycznych dzisiaj, że wyraźnie natomiast widzę jako historyk, nie od wczoraj trwającą walkę między degenerującą się estetyką mieszczańską i estetyką postępową, marksistowską jakże inną, że ta sama estetyka mieszczańska nie tworzy ciągłej całości, że inna jest u schyłku XVIII w., inna w okresie rozkwitu kapitalizmu u Taine, a inna, zupełnie inna w dobie imperializmu.

Impresjonistyczna, właściwa przeszłemu pokoleniu krytyków, metoda analizy Borowego teoretycznie opiera się nie na „naszej" obowiązującej powszechnie estetyce, a na estetyce Croce'go który właśnie najpełniej wyraża nieporadność mieszczańskiego schyłkowego idealizmu.

Ale powtarzam nie podejmę dyskusji na ten temat — ostatecznie marginesowy w książce Borowego.

Jakież są jednak konsekwencje tezy Borowego o jakiejś jedynej normatywnej „naszej", estetyce i „naszym" poczuciu artystycznym? „W tym wypadku, pisze na stronie 225, wersja Karpińskiego bardziej odpowiada **naszemu poczuciu taktu artystycznego**". I tak w całej książce. Nieuchwytne „nasze poczucie artystyczne" staje się miarą ocen i gorzej staje się podstawą selekcji danych i obserwacji, które składają się na opis danego dzieła w ujęciu Borowego. Wychowany na formalistach lat międzywojennych to tylko dostrzega z poetów 18 w., co jest ważne z punktu widzenia normatywnej poetyki formalizmu, co jest mówiąc językiem tej poetyki „chwytem obnażonym". Dlatego też nie mówi nic przy Satyrach Naruszewicza, co jest ważne z punktu widzenia historii kultury polskiej, z punktu widzenia życia ideowego i literackiego 18 w., z punktu widzenia szerokich kryteriów postępu i wstecznictwa, z punktu widzenia stosunku Satyr do ówczesnej rzeczywistości, z punktu widzenia właściwości konstytutywnych stylu pseudoklasycznego.

Typ analizy Borowego daje przecież zamierzone przez autora rezultaty. Po przeczytaniu jego (zresztą świetnie napisanego) rejestru „chwytów obnażonych" i spostrzeżeń formalnych prawie nie zdajemy sobie sprawy, że poezja polska XVIII w. to była poezja walcząca, społeczna, postępowa, że oddychała wielkim wichrem rodzącej się rewolucji, że z cudowną odwagą podważała odwieczne fundamenty starego porządku społecznego.

Te sprawy zepchnięte są przez Borowego na dalszy, bardzo dalszy plan. Ledwie wzmiankowane.

IV. DYSKUSJE MERYTORYCZNE

Ale profesor Borowy nie jest do końca konsekwentnym formalistą. I to jest ciekawe, teoretyczne zagadnienie niniejszych rozważań: kiedy profesor przestaje być formalistą?

Otóż autor zrywa ze swoją wyniosłą obojętnością dla spraw społecznych, dla tematyki postępowych utworów 18 w. w jednym wypadku — gdy wiersz silnie trafia w fundament zwalczanego wówczas systemu niewoli feudalnej — w kościół, w kler. Wobec wierszy libertyńskich traci olimpijski spokój obserwatora trafnych i cienkich wyrażeń, zręcznych chwytów, finezji kompozycyjnych.

Więcej, wtedy wyraźnie staje na obcym mu w innych wypadkach stanowisku, że typ kompozycji utworu, poszczególne elementy konstrukcyjne, ich funkcje i związki, ba! dyrektywy artystyczne doboru środków ekspresyjnych — czyli całą problematykę formalną można rozgryźć tylko na gruncie jedności formy i treści — tylko wychodząc od tego co utwór mówi i jak mówi o tym właśnie, a nie wychodząc od abstrakcyjnego, automatycznego „jak".

Przyznam się, że w toku czytania książki Borowego, bardzo czekałem na rozdział o Krasickim. Jakże sobie autor da radę z tym świetnym poetą i libertynem, postępowcem? Dał sobie radę nadspodziewanie dobrze! Domyślacie się przecież? Okowy formalizmu pękły przy „Monachomachii" Zniknął uniwersytecki olimpijczyk. Ależ wsiadł profesor na biednego biskupa! Aż jękło!

„Ale ten sam stosunek zaczyna Borowy z indygnacją, pomiędzy uzdolnieniami autora a ich użyciem, które przejawia się i tutaj: w wyborze samego tematu Satyry. Wyobraźmy sobie, że w r. 1938 któryś z biskupów napisał satyrę np. na pielgrzymki młodzieży akademickiej do Częstochowy, a będziemy mieć mniej więcej nowoczesny odpowiednik sytuacji jaką stwarzało wówczas ogłoszenie satyry na zakonników przez dostojnika kościoła, który o ile dzieła swoje podpisywał, to nie inaczej tylko jako x. B. W. (tj. „Xsiąże Biskup Warmiński"). (str. 117—118).

Ależ Panie Profesorze wyprawy młodych faszystów (bo to nie była „młodzież akademicka" lecz zorganizowani ONR-owcy) na Częstochowę prosiły się o patetyczną, zajadłą, karczemną Naruszewiczowską satyrę. I dziwię się, iż Pana gorszy ewentualność, iżby taką satyrę napisał biskup! Uczciwy katolik powinien był odciąć się od tej lipy faszystowskiej, od cynicznego nabierania uczuć religijnych społeczeństwa. Takie wystąpienie biskupa nie byłoby gorszące — byłoby uczciwe i budujące!

Toteż cały nasz podziw dla postępowości Krasickiego, który miał odwagę (z całym duchownym autorytetem) uderzyć w ciemnotę mnichów, oporę szlacheckiego zacofania kulturalnego. Jakim był sens społeczny satyry Krasickiego mówi jasno początek „Monachomachii". Nieszczęście Polski — nędza miast i wysysające te miasta i kraj pijawki pańskie, karczmy i klasztory! Czym była dla naszej kultury konfiskata dóbr klasztornych złupionego majątku społecznego, mówią dzieje Komisji Edukacji Narodowej.

Przy analizie „Monachomachii" po raz pierwszy u Borowego o wartości artystycznej decydują nie oderwane chwyty, ale całość utworu, jakość ujęcia konkretnego tematu. Oczywiście osąd artystyczny profesora wypada dla biskupa fatalnie.

Ale nie to jest najrozkoszniejsze w tej próbce nieformalnej analizy Borowego. Najsympatyczniejsza jest merytoryczna polemika z Krasickim. Tak obojętny dotąd na wszelką treść Borowy zaczyna merytorycznie bronić mnichów, zbijać tezy krytyczne Krasickiego. Krasicki kpi z bezmyślnej scholastycznej erudycji zacofanych mnichów, obcych ruchowi umysłowemu oświecenia. Borowy ich broni— bo jakże! Scholastyka została dzisiaj zrehabilitowana! Czyżby? Czy to nie jest nadużycie intelektualne? To co Krasicki krytykował w scholastyce: jałowy formalizm — nie zostało nigdy zrehabilitowane. Doceniono właściwą scholastykom tendencję do analizy pojęć. Ale o tym mnisi Krasickiego nie mieli pojęcia.

Krasicki kpi z mistyki hiszpańskiej. A Borowy broni tych „wysokich wzlotów ducha". Krasicki miał rację. Panie Profesorze! Mistyka była owocem upadku i rozkładu społeczeństwa hiszpańskiego, produktem gnicia duchowego. Nie zasługuje na obronę! „Tak osądzi nie miłośnik „wzlotów", ale każdy podręcznik społecznej historii Hiszpanii. A już napewno nie wolno było nie bić się z obskurantyzmem jezuickiej mistyki hiszpańskiej w Polsce 18 w., w Polsce walczącej o życie, walczącej z niewolą społeczną, którą właśnie utrwalali nosiciele mistyki hiszpańskiej. Nie godzi się Panie Profesorze w podręczniku, który dostanie się do rąk młodzieży uniwersyteckiej, tak bałamutnie przedstawiać najśmielsze, jasnowidzące rzuty postępowej myśli 18 w. — jako pomyłki kulturalne.

Nie uchodzi! Jak mawiał kapelan Fredry.

V. CO TO JEST „OBIEKTYWIZM" NAUKOWY

Książka Borowego jest fantastycznie sekciarska, stronnicza, jednostronna w służbie ducha zakrystii, lekceważąca wszelki obiektywizm historyczno - literacki.

Otwórzmy ją na kartach poświęconych wybitnemu poecie - rewolucjoniście 18 wieku — Jasińskiemu.

Charakterystyka tego pisarza jest klasycznie niesprawiedliwa. Dla Borowego Jasiński jest naiwny — a pobożna Benisławska człowiekiem wielkiego ducha, talentu subtelnej kultury. Autorka kruchcianych kantyczek i pisarz, który z trafnością i odwagą niezawodnego szermierza, jak sztychem szpady, trafiał swymi wierszami w chore miejsca ówczesnego społeczeństwa.

Borowy karci Jasińskiego za liberatyństwo, za wolterianizm, który jest jego mocną stroną, a ceni w tym pisarzu mocnym i ostrym „ustępy prawdziwie wdzięczne, o humorze swobodnym i niewinnym". Chce gwałtem z partyzanta rewolucji zrobić figlarnego pasterza! W antykościelnych wierszach Jasińskiego umie dostrzec tylko ich skabryczność. Nie widzi ich całej antyklerykalnej społecznej siły. Nie próbuje wniknąć w odrębny styl poety — skazuje go za prozaizmy, dłużyzny, naiwności. I tyle zostaje w głowie czytelnika z jednej z najciekawszych postaci pisarstwa postępowego XVIII wieku.

W całej pracy Borowego łatwo jest wykryć pewną metodę selekcjonowania zagadnień poruszanych przy okazji charakterystyki pisarza. Nie są te charakterytsyki nigdy schematyczne. Przeciwnie autor nieraz bardzo trafnie, jak przy Zabłockim, chwyta rysy indywidualne pisarza. Ale o jedno dba systematycznie. By przy pisarzach postępowych, antyklerykałach, raczej szukać dziur w całym (np. Węgierski), a przy poetach religijnych, o skłonnościach mistycznych i konserwatywnych, nawet przy oczywistych brakach podkreślać nikłe zalety (np. Woronicz).

Dla Borowego o wartości umysłowej i duchowej pisarza stanowi głównie jego stosunek do religii i kościoła, uznając religijność

---

* Wacław Borowy: O poezji polskiej XVIII w. Polska Akademia Umiejętności. Kraków 1948 r. str. 398.

„THÉATRE LOUIS JOUVET"

Słynny we Francji i w całym świecie teatr Jouvet'a odwiedził ostatnio Warszawę, Kraków i Poznań, wystawiając w sposób niezwykle interesujący i piękny „Szkołę żon" Moliera. W najbliższym numerze drukować będziemy uwagi Jerzego Kreczmara o tym przedstawieniu. Tymczasem notujemy to wydarzenie teatralne z jak największym uznaniem. Zaimponowała nam przede wszystkim niezwykła dbałość o tekst literacki, któremu w teatrze Jouvet'a podporządkowane są całkowicie wszystkie efekty widowiskowe — i zaimponowało nam wielkie, wysoko ponad nasze teatry wyrastające, wykształcenie zawodowe aktorów. Pojawienie się tego teatru w Polsce — jest wydarzeniem kulturalnie ważnym i pożytecznym.

za najwyższy i wieczny walor kultury, osobowości, natury ludzkiej. Toteż nie waha się Staszica, najpiękniejszej, mądrej postaci bojownika o postęp, bojownika o zerwanie wszystkich więzów feudalnych, a więc i kościelnych i przesądów religijnych krępujących wówczas myśl ludzką — przeciwstawić Benisławskiej, jako przerastającej tego pierwszego. Do tak nieprzekonywujących hierarchii wartości dochodzimy ścieżkami wytkniętymi polonistyce przez Borowego.

Praca „O poezji polskiej w wieku XVIII" jest w oczywisty sposób tendencyjną. Przykro mi, że recenzja moja ma charakter napastliwy, ale sprowokowane to zostało bez reszty charakterem książki recenzowanej.

Autor posługuje się doprawdy zbyt już formalnym i subiektywnym pojęciem kultury. „Religijna kultura uczuć, pisze, rozwinięta przez obfite publikacje ascetyczne i mistyczne XVII i połowy XVIII wieku wydała w książce Benisławskiej jeden z najpiękniejszych swoich owoców (str. 218)". Przecież to brzmi tak samo, jak „kultura dyskryminacji rozwinięta przez obfite publikacje rasistowskie prefaszystów wydała w książce Rosenberga jeden z najpiękniejszych swoich owoców".

Dla Borowego piśmiennictwo ascetyczne czasów saskich nie krzewi formalizmu dewocyjnego, ale sięga do głębokich pokładów duszy. Dla profesora Borowego świadczy o tym treść i ekspresja wierszy Baki (nowych) i Benisławskiej. Ależ właśnie te wiersze robią na mnie wrażenie pustych, formalnie dewocyjnych. O tym mówi zresztą konwencjonalna skomplikowana forma tych rytmów duchownych. Są one pod względem treści wyrazem zacofania kulturalnego naszego społeczeństwa. Lecz ta kontrowersja jest trochę zbyt subiektywna. Natomiast obiektywnie stosunki społeczne w Polsce saskiej nacechowane ponurym zdziczeniem (por. Kitowicz i inni współcześni pamiętnikarze, por. powieści Krasickiego i publicystykę Monitora i pisma Kołłątaja o szkolnictwie i wiele, wiele innych świadectw), nic nie mówią o „kulturze uczuć" choćby religijnych ludzi tego czasu przeciwnie mówia o upadku kultury uczuć, kultury człowieczeństwa. Czasy saskie nie dadzą się wybielić — Panie Profesorze — tylko dlatego, że za kulturę tego ponurego okresu pełną odpowiedzialność ponosi duchowieństwo i kościół wraz ze szkołami klasztornymi.

W książce Borowego — tak samo jak „kultura" religijna czasów saskich wychodzi za ostro — tak obraz kultury oświecenia jest zbyt zamazany. Sporo tu grymasów na brak wytworności naszych wolterian i antyklerykałów, ale pozytywne treści programu kulturalnego oświecenia nie układają się w pełną, żywą, twórczą całość. Większość istotnych rysów tej kultury wręcz została przemilczana. W powodzi formalnych smaków zaginęła jej wysoka treść humanistyczna.

Przy poetach religijnych Borowy rozkoszuje się każdym odcieniem wątlutkiej myśli czy konwencjonalnego uczucia — przy pisarzach laickich i humanistycznych oświecenia interesuje się raczej językiem, metaforami. Treść uczucia, myśli, społeczne tendencje, czynniki konstytutywne w 18 w. dla zorganizowania środków wyrazu i decydujące przy wyjaśnieniu zatem ich funkcji artystycznej konsekwentnie przemilcza, przemilcza.

Metoda badawcza Borowego powoduje, iż książka jego nie jest książką o ludziach, o konkretnych pisarzach, jest to praca o indywidualnie zorganizowanych zespołach chwytów artystycznych, które przyporządkowywane są (dlaczego?) znakowi rozpoznawczemu każdego zespołu: nazwisku pisarza. W rezultacie w książce zupełnie nie widzimy rozwoju artystycznego danego twórcy na tle jego rozwoju ideowego, zmian postawy wobec życia, dojrzewania wewnętrznego, załamań, tego wszystkiego co stanowi los człowieka - pisarza. Porównajmy choćby to co o „Satyrach" Krasickiego pisze Borowy z tym co pisał przed 10 laty Dawid Hopensztand (por. Stylistyka teoretyczna w Polsce pod red. Budzyka). Borowy pokazuje nam zamiast „Satyr" bigos metafor i środków formalnych pozbieranych dowolnie, bez rozróżnień z wcześniejszych i późniejszych utworów. Hopensztand potrafi pokazać wyraźne zróżnicowanie artystyczne, formalne, typów satyr, właściwych im środków wyrazu, umie zróżnicować i osądzić wartość artystyczną tych różnych typów, umie wskazać zniżający się kierunek artystycznych przemian, umie wyjaśnić to ewolucją ideową, dekadencją ideową pisarza, umie przekonywująco pokazać pełnię sensu, funkcji, istotę danych form jako swoistego wyrazu ideowych, poznawczych, społecznych treści. Hopensztand widzi pisarza - człowieka, który się zmienia, Borowy dziwaczne ognisko skupiające chwyty formalne zaświadczone w tekstach podpisanych nazwiskiem pisarza.

Jakiż ostateczny wniosek wynosi czytelnik po zamknięciu książki „O poezji polskiej w wieku XVIII"?

Ano, że w czasach saskich pisaliśmy wzruszające wiersze, tworzyliśmy wysoką kulturę uczuć pod wpływem subtelnych lektur mistyków hiszpańskich, a potem przyszedł czas pisania złych wierszy, wypranych z uczuć, pełnych ciepłego moralizatorstwa społecznego, wulgarności w stosunku do wyższych, religijnych potrzeb duszy ludzkiej.

To ostateczne streszczenie jest karykaturą. Ale też książka Borowego bodaj karykaturalnie zniekształca obraz rozwoju poezji polskiej w XVIII wieku.

Stefan Żółkiewski

Pamiętniki Benvenuta Celliniego

Pamiętniki Benvenuta Celliniego*) które udostępniła nam ostatnio Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza" są dziełem tak słynnym, że wzmianki o nim możemy znaleźć w byle podręczniku szkolnym. Stąd je zresztą wszyscy pamiętamy. Sąsiadowały o niewiele wierszy czy stronic z nazwiskami Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Raffaela i Tycjana. Gdzieś w tym kręgu ukazywała Florencja Medyceuszy z Kuźmą Starym i Wawrzyńcem Wspaniałym, a Machiavelli roztaczał przed książętami zasady teorii i praktyki despotyzmu. Był to obraz monumentalny i zakrojony na mit, bo tak już bywa w historiografii, że każda epoka, która odznaczyła się twórczością wybitną, nabiera rychło cech tajemniczych, a tajemniczość sprzyja mitologii. Tak właśnie jest i z Cellinim. To jeden z nowożytnych półbogów, którego nietykalne dzieła można oglądać we Florencji, w Rzymie i Fontainebleau, a któreś z cacek sztuki złotniczej w równie muzealnej atmosferze Wilanowa.

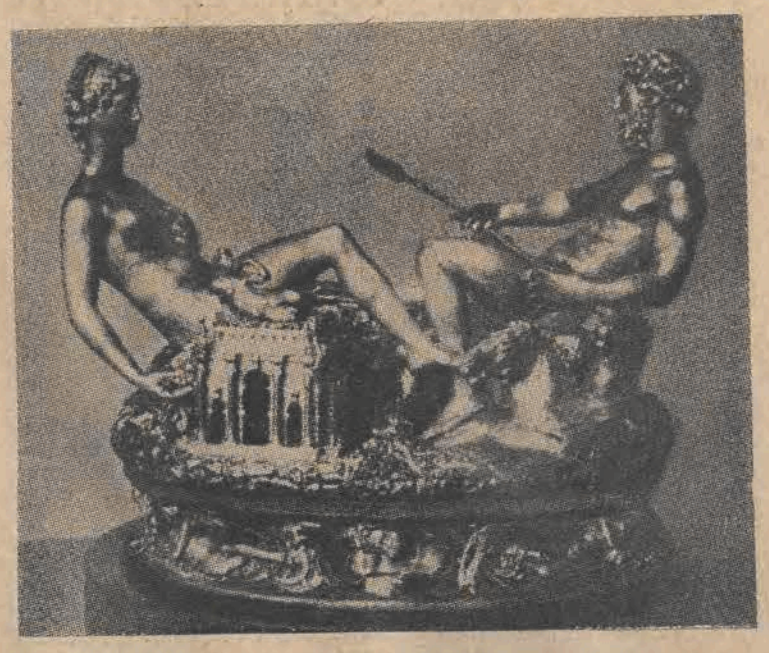

Cellini: złota solnica

Tymczasem sprężyny mitu są zwykłe i proste, należy tylko zajrzeć do epoki ponad historiografią oficjalną tak niedyskretnie, jak tylko możliwe. Chociaż jednak wiemy, że tak czynić należy, niedyskrecja w wypadku Celliniego jest nieco żenująca, można by nawet powiedzieć, że przekracza nasze apetyty historyczne i naszą — powiedzmy — strawność moralną. W wybitnym artyście chcielibyśmy, bądź co bądź, widzieć człowieka jako tako szlachetnego, co bynajmniej nie hamuje bujności charakteru, a tylko mówi o rodzaju charakteru i o granicach zakreślonych przez poczucie solidarności społecznej, którą nazywają również miłością bliźniego. Tymczasem w świetle pamiętników widzimy Celliniego jako samochwałę, chciwca, intryganta, zawadiakę i wielokrotnego zabójcę. Jakaż była ta epoka, skoro takim był jeden z najlepszych jej reprezentantów?

Pytanie to nie jest absolutnie wygodnym pretekstem do uogólnienia, bo epoka była rzeczywiście pod względem moralnym godna swego przedstawiciela. Ona go ukształtowała i ona nadała mu cechy obronne. Już od pierwszych zdań tego obszernego dzieła rozwiewa się monumentalność, widzimy natomiast świat rzeczywisty, pełen wysiłków codziennych i niecodziennych, małych błędów i wielkich przestępstw. Jest to świat współczesny Rabelais'mu, ale mało spotykamy w nim rubaszności, natomiast chytrość i przebiegłość panuje niemal na każdym kroku. „Przynieś mi chlubę, a nie stracisz na tym" — powiada papież Paweł III do Celliniego przy pertraktacjach o jedno z dzieł, gdy już chce zaapelować do najpoważniejszej instancji sumienia. O tymże papieżu który więzi go w zamku Świętego Anioła, pamiętnikarz powiada, że jeszcze jako kardynał Farnese sam również „był więziony w zamku za to, że jako pisarz w kancelarii papieskiej sfałszował b r e v e. Papież Aleksander trzymał go długo w więzieniu; ponieważ sprawa była szpetna, postanowił nawet go ściąć; chciał jednak przeczekać święto Bożego Ciała. Tymczasem Farnese, dowiedziawszy się o tym, kazał Pietrowi Chiaveluzzi przybyć z końmi i przekupił kilku strażników; gdy w dzień Bożego Ciała papież szedł w procesji, spuszczono Farnesego w koszu, na linie, na ziemię".

Ale to były dawne czasy. Obecnie kardynał Farnese jest papieżem. Cellini robi dlań stemple do złotej monety. Zgodnie z życzeniem zleceniodawcy umieszcza na stronie licowej Chrystusa ze związanymi rękoma i napis „Ecce homo". Na odwrocie papież i cesarz zgodnie podtrzymują grożący upadkiem krzyż, a napis opiewa: „Unus spiritus et una fides erat in eis".

Cellini nie ma na ogół szczęścia do mecenasów, a może tylko chce przechytrzyć tych wszystkich władców ze szkoły Macchiavellego. Udaje mu się to z rozmaitym skutkiem, raz więc chwali nadmiernie książąt i papieży, a innym razem miesza ich z błotem, uzależniając swój stosunek do nich od swych doraźnych korzyści. „Gdybym był tak przemyślny — mówi z goryczą o Kuźmie II Medyceuszu — i zawarował sobie pisemnie wszystko, czego potrzebowałem do dzieła swego, to nie byłbym miał z pewnością tych wielkich kłopotów, które potem spadły na mnie... Ponieważ jednak nie wiedziałem, że wielki ten pan jest więcej kupcem, niż księciem, więc zaufałem najszczerzej Jego Ekscelencji jak księciu, a nie jak kupcowi". Rezultat tej ufności był nader opłakany, gdyż zamiast dziesięciu tysięcy skudów, z którymi wiązał nadzieje swego życia, otrzymał za swego Perseusza tylko trzy i pół tysiąca, płatne na domiar złego w wieloletnich ratach. „Byłem — powiada gdzie indziej — wielkim miłośnikiem prawdy i wrogiem kłamstwa. Lecz byłem w położeniu bez wyjścia, gdyż nie chciałem stracić łaski tak wielkiej księżnej". Zgodnie więc z życzeniem księżnej zachęcił Kuźmę Medyceusza do kupna naszyjnika z pereł za cenę o wiele przekraczającą jego wartość, ale nie omieszkał tego wypowiedzieć, gdy stało mu się to potrzebne w ramach osobistych posunięć dyplomatycznych.

Wśród takich drobiazgów i podstępów toczy się narracja „Żywota" Benvenuta Celliniego, wielkiego złotnika i rzeźbiarza. Artysta prawie wcale nie mówi o swej sztuce, a jeśli tu i ówdzie znajdziemy jednak nader krótkie opowieści na ten temat, są to relacje o szczegółach zupełnie konkretnych i fachowych, ujęte w słowa, jakie by mogli chyba wymieniać między sobą jubilerzy i rzeźbiarze we własnym gronie i we własnych pracowniach. Taki jest na przykład opis trudności technicznych przy odlewaniu Perseusza. Zarówno sam Cellini jak i artyści, których opisuje, są czymś w rodzaju sublimowanych rzemieślników i chyba nie wiedzieliby nawet o co chodzi, gdybyśmy kazali im rezonować na temat zagadnień sztuki i kultury. Posiadają tylko sprawność ręki i techniczną umiejętność swego zawodu, ale to jest dla nich dostatecznym powodem, aby mówić o sobie samych w superlatywach i nie interesować się niczym więcej.

I Cellini więc nie interesuje się niczym więcej poza swą sztuką i swym życiem. Sztuka jest dlań przy tym fragmentem życia osobistego, jakąś wielką kategorią roboczą, a nie ośrodkiem życia albo molochem, któremu by trzeba coś poświęcać. Przede wszystkim widzimy jego życie, a sztukę tylko wtedy, gdy odgrywa poważniejszą rolę w konkretnych kolejach życia. Dzięki temu przesuwają się przed nami barwne obrazy ówczesnej obyczajowości wśród burd, anegdot i podróży z ledwo zauważalną pięknością krajobrazów. Jest to historia dnia codziennego, bo wydarzenia wielkie zupełnie pamiętnikarza nie interesują. Mówi się wtedy krótko coś w tym rodzaju, że król czy książę toczył podówczas wojnę, więc nie można było dojść z nim do ładu. Tylko tyle dowiadujemy się chociażby o Franciszku I, królu Francji, który toczył wiele wojen, a w przerwach między nimi stawał się mecenasem wszystkich sztuk renesansu (na jego dworze przebywali oprócz Celliniego, Leonardo da Vinci i Tycjan) oraz założył Collège de France i Drukarnię Narodową, by zasłużyć sobie na tytuł „le père et le restaurateur des lettres". W świetle swych pamiętników Cellini ukazuje się nam tedy jako rodzaj sublimowanego rzemieślnika.

Za to o swych sprawach osobistych umie opowiadać wiele i to ze szczerością wprost żenującą dla czytelnika, którego pojęcia moralne wykształciły się na całym szeregu późniejszych kodeksów karnych. „Gdy dzięki tym adwokatom — mówi na przykład — zapadło na mnie kilka wyroków i nie widziałem już innej rady, uciekłem się do swego dużego sztyletu, bo zawsze lubiłem posiadać piękną broń. Zabrałem się naprzód do pierwszego przeciwnika, który mi wytoczył niesprawiedliwy proces; i pewnego wieczoru, bacząc tylko, by go nie zabić, pokłułem mu tak nogi i ramiona, że stracił władzę w obydwu nogach. Potem wyszukałem drugiego, który kupił proces, i temu również dogodziłem tak, że proces ustał. Podziękowałem Bogu za to..."

Czytając opisy tego rodzaju scen, odczuwa się coś w rodzaju niemoralnej sympatii do ich bohatera, sympatii takiej, jaką obdarzaliśmy za lat dziecinnych wyczyny Bohuna, ale jesteśmy skłonni obwiniać za to bardziej pamiętnikarza niż siebie samych. Z tym większą powagą formułujemy wtedy wniosek, że bardziej nam odpowiada sztuka niż życie florenckiego rzeźbiarza i złotnika.

Wspaniały przekład pamiętników Celliniego wyszedł spod pióra Leopolda Staffa.

Adolf Sowiński

*) „Benvenuta Celliniego Żywot spisany przez niego samego". Przełożył Leopold Staff. Okładkę projektował A. Sołtan. Str. 351. i 1 nlb. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza", 1948

JAN MARIA GISGES

WIECZÓR AUTORSKI

Poszedłem naprzełaj — bo mrok, jako pastuch
pozbawiony poczucia przestrzeni,
pętał już pęciny dnia w dolinach.
Na łąkach przy Nidzie
martwiały sceny wieczornych sielanek,
pod okiem uniesionych jak sen.

By obraz nie zmatowiał zbyt silnie,
na górę Świętej Anny chlapnął światłem
i złotem zachód, uniesiony przez chmury.
Ludzie w dole
byli tylko cieniami.

⁂

Odważyłem wtedy lekkość mówionego słowa,
lekkość nitki październikowej jesieni,
która omota przygodną gałąź drzewa
i tylko końcem jak dłonią powiewa.

⁂

Wejść do sali, gdzie ozdobą są tylko źrenice,
jest zaskoczeniem, które zniewala.
Więc wyszedłem naprzeciw umówionym spotkaniom
o twarzach świeżych i zapachu żywicznym.
Umówmy się, że słowa są tylko symbolami,
które na chwilę zaczepią o nas — gałęzie —
podobne nitkom babiego lata,
by pośród zieleni zniknąć.
Ludziom domków podmiejskich i niskich kamienic,
zanim wizja jak ranek ze zmroku powstanie,
z głosu i słów narodził się blask wyczekujących źrenic.
Prawda.
Czym jest ona — zwykłym ręki podaniem.

TREŚĆ NR 24

Leon Gomolicki — **U podstaw realizmu rosyjskiego**; Georg Lukacs — **O „straconych złudzeniach" Balzaka**; Seweryn Pollak — **Rozważania pokonkursowe**; Włodzimierz Słobodnik — **Wiersze**; Adolf Sowiński — **Debiut Broszkiewicza**; Jerzy Broszkiewicz — **Ucieczka**; Melania Kierczyńska — **Młodzież podziemia w powieści Andrzejewskiego**; Wanda Leopoldowa — **Jeszcze raz pokolenie**; A. Szloński — **Pieśń**; K. W. Zawodziński — **O niektórych trudnościach krytyki literackiej, teoretycznych i praktycznych**; **Przegląd prasy**; **Noty.**

JOHN STEINBECK

Notatki z podróży po Związku Radzieckim *)

KIJÓW — MIASTO RUIN

WSZYSCY mówili nam, że zaraz za Moskwą zniknie cała sztywność i oficjalność. To była prawda. Na lotnisku w Kijowie przywitało nas kilku Ukraińców, przedstawicieli miejscowych stowarzyszeń kulturalnych. Byli bardzo sympatyczni, weselsi i swobodniejsi niż ludzie spotkani w Moskwie. Uderzała ich otwartość i serdeczność. Byli to rośli mężczyźni, prawie sami blondyni o szarych oczach. Zabrali nas samochodem do Kijowa.

Kiedyś musiało to być piękne miasto. Jest znacznie starsze od Moskwy, jest matką wszystkich miast rosyjskich. Położone na wzniesieniu nad Dnieprem, rozpościera się szeroko aż ku dolinie. Klasztory, twierdze i kościoły sięgają tu XI-ego wieku. W swoim czasie miasto było ulubionym miejscem odpoczynku carów i słynęło ze swojej architektury w całej Rosji. Dawne centrum wiary jest dzisiaj napół ruiną. Niemcy pokazali tu, co potrafią. Każdy gmach użyteczności publicznej, biblioteka, teatr, nawet cyrk, zniszczone są nie bronią, nie wojną, ale ogniem i dynamitem. Uniwersytet spalony i zburzony, szkoły w gruzach. To już nie była walka, lecz szaleńcze niszczenie wszystkich dóbr kulturalnych, wszystkich skarbów architektury, jakie gromadzono tu w ciągu całego tysiąclecia.

Nasz ukraiński przewodnik, Alexy Połtaraski, był wysokim mężczyzną, kulejącym nieco od rany odniesionej pod Stalingradem. Jest pisarzem ukraińskim, posiada dobrą znajomość angielskiego i duże poczucie humoru. Jest człowiekiem życzliwym i towarzyskim. W drodze do hotelu zdążyliśmy zauważyć, jak by to zrobił każdy, że dziewczęta ukraińskie są bardzo ładne, najczęściej blondynki o zgrabnych kobiecych figurach; są postawne, chodzą kołysząc się nieco i śmieją się często. Wydają się szykowniejsze od kobiet moskiewskich, jakkolwiek wcale nie są lepiej ubrane.

Pomimo, że Kijów jest daleko bardziej zniszczony od Moskwy, jego mieszkańcy nie zdradzają owego wielkiego znużenia, jakim odznacza się ludność stolicy. Głowy podniesione, ramiona wyprostowane i śmiech na ulicach. Może dlatego, że Ukraińcy nie są pochodzenia rosyjskiego, lecz stanowią odrębne plemię słowiańskie. Większość Ukraińców zna język rosyjski, ale ich własny język jest samoistny, podobny raczej do języków Słowian południowych, niż Rosjan...

W Hotelu Turystycznym nasi ukraińscy gospodarze uraczyli nas wspaniałym śniadaniem. Świeżo zerwane pomidory i ogórki, wędzone ryby, kawior, no i oczywiście wódka; poza tym befsztyki świetnie przyrządzone na sposób ukraiński, wyśmienite kiełbasy, wreszcie wino z Gruzji. Czuło się, że ci ludzie darzą nas szczerym uczuciem przyjaźni.

Popołudniu odbyliśmy spacer po pięknym parku, opadającym stromym urwiskiem ku Dnieprowi. Ustawiono tu już nową muszlę orkiestrową i wzniesiono nowe podium. Stare drzewa osłaniają groby obrońców miasta— zielone kopce pokryte czerwonymi kwiatami. A w dole rzeka wije się tuż pod urwiskiem, na przeciwległym brzegu piaszczysta plaża, ludzie kąpią się i leżą w słońcu. Opodal szeroka równina pokryta gruzami zburzonego miasta, sterczące szczątki murów i zgliszcza. Jest to miejsce, którędy weszła Czerwona Armia, przynosząc wyzwolenie.

W parku dzieci otoczyły grającą orkiestrę, rzeką płyną maleńkie parowce i żaglówki.

Przeszliśmy most wychodzący na szosę i przystanek autobusowy. Rosyjskie przepisy porządkowe są twarde i niewzruszone: każdy musi stanąć w ogonku, aby dostać się do autobusu. Wyjątek stanowią kobiety z dziećmi, starcy i kaleki. Ci wchodzą poza kolejką...

W ciągu całej naszej wędrówki widzieliśmy zaledwie kilka wypadków zakłócenia spokoju. Na ogół ludzie tam odznaczają się wprost niewiarygodną cierpliwością.

Byliśmy bardzo zmęczeni tego wieczoru przy obiedzie, gdyż spaliśmy krótko, nasz zapał do wódki ostygł, a nawet znikł zupełnie.

Nasi gospodarze wypytywali nas o najrozmaitsze rzeczy. Chcieli wiedzieć coś o Ameryce, o jej obszarze, jej plonach, jej polityce. Wtedy dopiero zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, jak bardzo trudno jest powiedzieć coś o tym kraju, w którym dla nas samych nie wszystko jest zrozumiałe...

Pytali o wynagrodzenia, stopę życiową i tryb życia ludzi pracy. Interesowało ich również, czy rzeczywiście każdy przeciętny obywatel amerykański ma samochód, w jakim domu mieszka, czy posyła dzieci do szkoły i do jakiej.

Oni ze swej strony mówili o bombie atomowej, której się nie boją. Stalin powiedział, że bomba atomowa nie będzie nigdy użyta do celów wojennych, a oni mu wierzą. Mają do niego zaufanie.

Ktoś dodał, że gdyby nawet została użyta, jej przeznaczeniem jest burzenie miast. „Nasze miasta są już zburzone, cóż jeszcze pozostaje do zburzenia? Zresztą gdyby nas napadnięto, będziemy się bronić tak, jak broniliśmy się przed Niemcami. W śniegu, w lasach, w polach".

Mówili z niepokojem o wojnie — mieli tego aż nadto.

Ciągle zadawali pytania — „Czy Stany Zjednoczone wypowiedzą nam wojnę? Czy będziemy musieli się bronić po raz drugi w naszym życiu?" — Mówiliśmy, że nie wydaje się nam, aby to było możliwe i wątpimy, aby nasz naród chciał napadać na kogokolwiek. Pytaliśmy, skąd im to przyszło na myśl.

Odpowiedzieli, że czytają naszą prasę. Wiele gazet amerykańskich mówi ustawicznie o wojnie z Rosją. Niektóre wspominają o wojnie prewencyjnej, a przecież wojna prewencyjna jest taka sama, jak każda inna. Powiedzieliśmy, że nie mamy zaufania do prasy, o której myślą i nie sądzimy, aby dziennikarze piszący tylko o wojnie byli wyrazicielami opinii ogółu.

I natychmiast nasunęło się zwykłe w takich wypadkach pytanie: „Jeśli tak ,to dlaczego wasz rząd nie kontroluje prasy i pozwala na tego rodzaju wypowiedzi?' Musieliśmy tłumaczyć po raz nie wiem już który, że nie jesteśmy zwolennikami kontroli prasy. Wolimy, aby w naszym kraju ludzie gadali sobie, publicznie pisali. Sprawę tę musieliśmy jeszcze nie raz poruszyć w czasie naszej podróży.

SOWIECKA WSPÓLNOTA WIEJSKA

9 sierpnia. Tego dnia pojechaliśmy do wioski Szewczenko. Nazwaliśmy ją potem Wieś Szewczenko numer 1 nie należała nigdy do wsi najlepiej postawionych ze względu na rodzaj gleby, jednakże przed wojną rolińskiego

Przez parę kilometrów droga była brukowana, potem, skręcając na prawo, wjechaliśmy na błotnisty szlak, miejscami poprzerywany. Mijaliśmy lasy sosnowe i równiny, gdzie niedawno toczyły się walki. Wszędzie widać było ich ślady: sosny okaleczone bronią maszynową, przekopy i doły po gniazdach artyleryjskich, trakty poprzecinane gąsienicami czołgów i poryte granatami — kraj ten, naprzemian tracony i odzyskiwany, wywalczał ciężko swoją ziemię cal po calu.

Szewczenko numer 1 nie należała nigdy do wsi najlepiej postawionych. Ze względu na rodzaj gleby, wieś jednakże przed wojną rozwijała się ładnie i liczyła już 362 domy, a więc i tyleż rodzin. W dobrze prosperującej wsi pozostało po przejściu Niemców osiem budynków o spalonych lub zerwanych dachach. Ale po wojnie wrócili rozproszeni mieszkańcy, zaczęły wyrastać nowe domy, budowano nawet w czasie żniw, przed i po pracy, często nocą przy świetle latarń. Pracowali mężczyźni i kobiety. System odbudowywania bywał różny: doprowadzono na przykład do porządku jedno pomieszczenie i zamieszkiwano je, dopóki nie odbudowało się reszty... Mieszkanie takie posiada jedną, lub dwie izby do spania, zależnie od wielkości rodziny. A że ci ludzie stracili wszystko, posłania składają się tylko z tego, co zdołali zdobyć dotychczas: skrawki kilimów, skóra owcza, wszystko, co tylko chroni przed zimnem. Dobrze utrzymane mieszkania świadczą o tym, że Ukraińcy są narodem czystym.

Mówiono nam, że ludność kołchozu mieszka w barakach. To nie prawda. Każda rodzina ma swój dom otoczony ogrodem i sad pełen jarzyn, kwiatów i uli pszczelnych. Większość ogrodów dochodzi do 1 akra. Zniszczone przez Niemców sady owocowe zastąpiono już nowymi sadzonkami jabłoni, grusz i wiśni.

W urzędzie gminnym, dokąd udaliśmy się przede wszystkim, powitał nas naczelnik, który stracił rękę w czasie wojny, buchalter niedawno zdemobilizowany, jeszcze w mundurze, oraz trzech radnych. Był to okres zbiorów i wiedzieliśmy, że są bardzo zajęci, lecz sami chcieliśmy zobaczyć żniwa. Opowiedzieli nam, jak tu było przed wojną i jak jest teraz. W chwili wejścia Niemców gospodarstwo liczyło 700 sztuk samego bydła rogatego, podczas gdy obecnie liczy tylko 200 sztuk wszelkiego rodzaju, dwa wozy, trzy traktory i dwie młócarnie. Do orki trzeba było pożyczać traktoru z sąsiedniej wsi. Z czterdziestu koni pozostały cztery. Osada straciła pięćdziesięciu ludzi w wieku poborowym i drugie tyle ludzi w różnym wieku, nie mówiąc już o dużej ilości kalek... Jednakże osiedle, które tak bardzo potrzebowało wkładu pracy i wysiłku, zatrudniło wszystkich, nie wyłączając inwalidów, jak bezręki rządca, czy pozbawiony palców kierowca traktoru, dając wszystkim poczucie własnej użyteczności i miejsce w życiu zbiorowym.

Uprawiano tu nieco pszenicy, żyta i prosa; w tym suchym piaszczystym kraju udają się jednak najlepiej ogórki, kartofle, pomidory i słoneczniki, które dostarczają wielkich ilości oleju.

Mieszkańcy Ukrainy są narodem jak najdalszym od smutku, pełno tam humoru i pieśni. Pojechaliśmy najpierw w pole, gdzie kobiety i dzieci pracowały przy „ogórkowych żniwach". Według zwyczaju podzieleni byli na grupy które współzawodniczyły ze sobą w zbieraniu największych ogórków. Szeregi kobiet rozbrzmiewały śmiechem, śpiewem i nawoływaniami; wszędzie długie spódnice, bluzy, chustki na głowach i bose nogi, bo obuwie jest zbyt kosztowne aby je nosić w pole. Dzieci ubrane tylko w spodenki, małe ciała zbrązowiałe w letnim słońcu. Na krawędziach pola leżały w stosach zerwane ogórki, czekając na wozy, a mały Grisza w ozdobnym kapeluszu z sitowia podbiegł do matki wołając: — „Ależ ci Amerykanie są całkiem tacy sami jak my".

Przełożyła Maria Skroczyńska

*) Drukowane w „New Jork Herald Tribune".

LEON PASTERNAK

HYMN FANATYCZNY

Naprzekór mocom niszczycielskim
i wbrew żywiołom rozwścieczonym,
co się przeciwko nam sprzysięgły
— żyjemy jeszcze.

Póki się ziemia nie rozstąpi,
póki nie runą w otchłań gwiazdy,
jak długo noc się w dzień przemienia
— będziemy trwali.

Zrodzeni w czasie niestygnącym,
z nieludzkim losem pokłóceni,
niepogodzeni z nim przenigdy
— wolności ufni.

Zdziesiątkowani — powstaniemy,
zginiemy — przyjdą po nas inni,
choćby się wielu z nas ugięło
— my zwyciężymy.

Kochamy zieleń, niebo, dobroć,
radość stworzenia wszelakiego,
lecz nadewszystko świat bez krzywdy
— człowieka godny.

Nas coraz więcej. Potrafimy
wyzwalać siły potężniejsze
od praw co sprzęgły nas z tą ziemią
— my ludzie zwykli.

Ciężar, świadomą dłonią pchnięty,
odzyska bieg swój nieskończony,
i kiedyś — dzieje wziąwszy w ręce
nadamy kształt własnemu szczęściu.

Zmiana warty przy mauzoleum Lenina

Pomnik pionierów odbudowany w centrum zniszczonego Stalingradu.

MARIUSZ MARGAL

PARYSKI MAJ 1948

„Fleurissez-vous! fleurissez-vous!" wołały natarczywie kwiaciarki na rogach bulwarów i ulic, zatrzymując przechodniów przed pełnymi konwalii wózkami i koszami, i mężczyźni, jak tego wymagała radycja, dekorowali chudymi bukiecikami po 10 franków uwydatnione modą piersi swoich dam. Paryż pachniał konwaliami i pierwszym maja.

Święto robotnika przywłaszczyli sobie wszyscy, nawet de Gaulle wielką zabawę i mityng ludowy urządzał z tej okazji w parku Saint Cloud, wszystkie syndykaty i rozłamowe grupy związków zawodowych organizowały odrębne uroczystości i Paryż był upstrzony przeróżnymi afiszami, wśród których, jak tego wymagała tradycja, dominowała czerwień. Trzeba było mamić i przyciągać.

Na placu Concorde wokół wielkiego obelisk a z Luksoru, który Ludwik Filip kazał tu wznieść, by zajął miejsce przeznaczone na statuę Wielkiej Rewolucji, ruch był świątecznie leniwy. Od kościoła Madeleine, który jednak wbrew planom Napoleona służy Bogu a nie pamięci zwycięstw Wielkiej Armii, aż po znajdującą się po drugiej stronie Sekwany zbudowaną w tym samym stylu greckich świątyń Izbę Deputowanych, przepełnione z powodu strajku metra autobusy zmniejszały długie kolejki na przystankach. W królewskim parku Tuilerii dostępnym niegdyś dla ludzi szlachetnie urodzonych, bawiły się przy fontannach dzieci i puszczały łódki. Park zatrzymywał się przed placem wysoką terasą, z której można podziwiać perspektywę Pól Elizejskich aż po łuk Triumfalny, ściany tarasu były pokryte tabliczkami z imionami Francuzów zabitych w walkach ulicznych przeciw Niemcom w sierpniu 1944, tu decydowały się losy Trzeciej Republiki 6 lutego 1934 roku. 1 maja 1948 roku na placu Concorde pod ścianą Tuilerii nie stały, jak tego wymagała tradycja, trybuny. Pierwszomajowy pochód CGT i Partii Komunistycznej od Bastylii do Concorde został zakazany. Bastylia była symbolem Rewolucji. Concorde oznacza zgodę. Pochód poszedł inną, krótszą trasą, która nie szła bulwarami bogatych quartiers. Na placu Concorde ruch był świątecznie leniwy.

W Saint Cloud, owacyjnie witany, przemawiał generał. Powitały go wyfioczone panie, panowie z brelokami na wydatnych brzuszkach, ludzie, których pierwszy maja przejmował zawsze lękiem. Prefektura naliczyła tych ludzi prawie ćwierć miliona. Na obstawionej policją trasie od Bastylii do Nation transparenty zastępowały parasole od słońca, wykwintne pieski nie chodziły w pochodzie, nie śpiewały masom kabaretowe pieśniarki i było mniej operatorów filmowych. Na trasie od Bastylii do Nation prefektura naliczyła 30 tysięcy manifestantów, „L'Humanité" widziała ich milion. Nienawiść zabijała i cyfry.

Dwa marmurowe konie z Marly wyznaczały naprzeciw Tuilerii początek zielonym i spokojnym Polom Elizejskim, wielkiemu parkowi, który zawdzięczał swoje powstanie kaprysom Marii Medycejskiej i pamiętał pierwsze projekty Le Notre'a. W soczyście letniej zieleni ukrywały się fontanny, pomnik Clemenceau i Daudet, kilka wytwornych pałacyków - restauracji i zbudowane na wystawę 1900 roku dwa wielkie budynki: Grand i Petit Palais, do których co rok Międzynarodowe Salony Automobilowe ściągały zazdrosne tłumy pasażerów metra. Arystokratyczny spokój Pól przecinały delikatne szmery motorów przejeżdżających limuzyn, poprzez drzewa widać było gwiaździste i pasiaste szandary Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, których ambasady przygotowywały się już do Święta Wolności.

Ale 9 maja przeszedł na ogół bez echa, bo tu wciąż się jeszcze obchodzi 11 listopada i tylko liczne wieńce na grobie Nieznanego Żołnierza i kępki flag państw sprzymierzonych zwisające z okien i witryn były znakiem święta i słabej pamięci niektórych Francuzów wobec pewnych aliantów. Zresztą — na Polach Elizejskich nie zajmowano się tym zbytnio. Kawiarnie wrosły już w chodniki stolikami i krzesłami, które skończyły swój zimowy okres bezczynności, na tarasach rozpostarły swe płótna wielkie parasole i ożywione gorącym zastrzykiem słońca Pola Elizejskie zatętniły znowu wspaniałą barwnością kobiecych ubiorów.

Paryż kwitł strojami. Przed kawiarnią Marignan stary grajek chrypiał piosenką z lat swojej młodości i spod parasoli padały rzadko skromne datki rzucane z wielkopańska. Starzec śpiewał: „T'es dans la rue, va, t'es chez soi", ale to nie było prawdą na Polach Elizejskich, gdzie stary grajek też czuje się jak intruz chociaż jest rodowitym Paryżaninem. Stary grajek mieszka na Aubervilliers, gdzie ulica o szerokości chodnika Pól Elizejskich mogłaby być luksusowym bulwarem i w niedziele przychodzi tu pod kawiarnię Marignan, bo CGT nadaremnie domaga się podwyżki płac, a ceny idą wciąż w górę. Ale to są sprawy, o których się nie rozmawia na Polach Elizejskich.

Po tarasie kręcił się długo jakiś brudny i wygłodniały pies, póki go nie przegnał biało-czarny kelner roznoszący z miną pawia chłodzące napoje. Pies podwinął tchórzliwie ogon i uciekł wprost przed siebie, nie łypnąwszy nawet rażąco czerwonym okiem w stronę łukowatej witryny, za którą w snobistycznym bezruchu spokojnie drzemały rasowe, drogie psy. W sklepie był ruch, bo rasowe, drogie psy są bardzo modne na Polach Elizejskich, dystyngowanymi ruchami regulowano rachunki, wysmukłe panie uśmiechały się do swoich czworonożnych pupilków, przepędzony pies znikł za pierwszym narożnym domem, biegnąc ze spuszczonym łbem. Chyba też był z Aubervilliers.

Obok psiej witryny trójwymiarowe fotografie uśmiechniętych twarzy nęciły przechodniów. Para wyfioczonych zazou podziwiała złudzenia plastyczności pocztówkowych krajobrazów i przytulona do siebie faliście tanecznym krokiem sunęła do „Mimi Pinson", „dancingu młodzieży", gdzie wśród półmrocznych dekoracji można pić szampana i wyładowywać pustkę w rytmicznych podrygach.

Oszklone przedstawicielstwa firm samochodowych, w których najmłodsze Fordy, Simci i Citroeny kusiły uśmiechem błyszczącej emalii, przeplatały się z agencjami turystycznymi i towarzystwami lotniczymi, które otwierały świat i łamały granice bogactwu. Wielkie kawiarnie towarzyszyły wykwintnym hotelom przepełnionym z powodu napływu turystów, którzy mieli załatać francuski budżet. „Le Monde" już obliczał, że 340.000 przewidywanych w następnym roku amerykańskich turystów pozostawi we Francji 95 milionów dolarów, dzielił cudzoziemców na kategorie majątkowe i milczał o tym, że René Mayer wciąż jeszcze nie ustabilizował budżetu i nieuregulował sprawy płac w ciągu sześciu przeznaczonych na to miesięcy. Ale ten temat nie pasjonował bywalców kawiarni z Elizejskich Pól.

Narazie przyjeżdżali Anglicy. Z planami miasta i z kodakami przewieszonymi przez ramię nagabywali policjantów o ulice i podziwiali Paryż. Paryż stroił się powoli i przygotowywał na przyjęcie księżniczki Elżbiety i Anglicy zwiedzający miasto byli bardzo dumni i zadowoleni. Przygotowania do książęcej wizyty przytłoczyły tłustym drukiem wiadomości o wizycie Harrimana, który ma pokierować realizacją planu Marshalla w Europie, a kwestia połączenia francuskiej etykiety republikańskiej z królewskim ceremoniałem brytyjskim była ciekawsza od wiadomości o inflacji walut, której Stany Zjednoczone w zamian za pomoc zażądały od państw korzystających z planu Marshalla.

Gazety zajmowały się kolorem dessous księżniczki i ewentualnością jej macierzyństwa, fotografowie śledzili obiektywami każde jej uśmiechnięte poruszenie i harmonię psuły tylko wiadomości z Palestyny, które spychały Elżbietę z tytułowych stron. Ale księżniczka była zadowolona, chociaż wśród terkotu karabinów maszynowych zwijano Union Jack na jeszcze jednym terytorium Imperium, zaś tłum paryski usiłował przerwać kordon policji, by zobaczyć majestatyczny rząd limuzyn wspinających się Polami Elizejskimi do Łuku Triumfalnego, gdzie księżniczka miała złożyć wieńce. Odbywające się jednocześnie wiosenne święto młodzieży połączone z międzynarodowymi igrzyskami sportowymi nie interesowało nawet najzagorzalszych sportowców Pól Elizejskich, i dodatki sportowe dzienników nie wspominały o nich ani słowa. Igrzyska były organizowane przez CGT.

Przed kinami odżywały neony. Od 12 w południe do 12 w nocy bez przerwy pracowały aparaty projekcyjne i aż po późny wieczór wclno w ciały się niezamierające nigdy kolejki w ciemność kinowych sal. W wyścielanych fotelach oklaskiwano każde pojawienie się de Gaulle'a, którym producenci aktualności zdobywali sobie popularność, wykorzystywano zdjęcia z Palestyny i Grecji na pocałunki, które pozwalały zamknąć oczy i nie słuchać wstrząsających salą wybuchów i czekano na „grand film". Film następował zaraz po kreskówce, która była amerykańskiej produkcji, film sam też był przeważnie amerykańskiego pochodzenia i właśnie opublikowano kompletne dane statystyczne za rok 1947: na ogólną ilość 375 wyświetlanych we Francji filmów 222 nakręcono w Stanach Zjednoczonych. Francuskich filmów 88, tj. 26% pokazano publiczności francuskiej, rosyjskich filmów wyświetlono pięć. Statystyki nie ciekawiły niecierpliwiących się w kolejkach widzów Elizejskich Pól.

Na najruchliwszych narożnikach olbrzymie plakaty wielobarwne reklamowały hollywoodzką produkcję. Rozmiarem i kolorem przytłaczały białoniebieskie afisze głoszące narodziny Państwa Żydowskiego, a w Vel'd'Hiv 50 tysięcy paryżan manifestowało swoją sympatię dla narodu walczącego o wolność i postęp przeciw feodałom i imperializmowi. Rząd republiki francuskiej wahał się z uznaniem republiki izraelskiej. Z uznaniem nowej republiki Viet Namu nie będzie się zbyt długo ociągał. Nowej, bo właśnie „reprezentanci elity duchowej i politycznej" jednogłośnie obrali prezydentem prowizorycznego rządu generała Xuan. Rząd Ho Chi minna nie przestał istnieć, ale generał Xuan już zdążył oświadczyć, że będzie walczył nawet zbrojnie ale aż do skutku przeciw komunistom. Bao Dai, były cesarz kolaboracjonista skromnie asystował przy uroczystościach i wyraził swoje zadowolenie. Kauczuk, złoto i ryż zostały uratowane. Lud Vietnamu nie interesował nikogo na Polach Elizejskich.

Rząd miał własne kłopoty. Między tworzącymi Trzecią Siłę MRP i SFIO nastąpiło starcie i z trudem zażegnano zarysowujące się przesilenie ministerialne. Chodziło o laickość szkół górniczych w północnych departamentach i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu socjaliści głosowali wraz z komunistami, ratując zasadę francuskiego wychowania świeckiego. Partyjny kongres MRP omawiał wytworzoną sytuację, radził nad uzdrowieniem obecnego stanu rzeczy i nad „szkodliwością negatywnego antykomunizmu", jak gdyby mogło być pozytywne to, co jest „anty" i zamknął kongres postulatami, które niczego nie zmienią. Radykałowie UDSR zjechali się na swój kongres, na którym domagali się jedności narodu ale bez komunistów, zmiany ordynacji wyborczej i zwrotu własności amnestionowanym byłym kolaboracjonistom. Przedstawiciele poszczególnych partii politycznych wyruszali co niedzielę na prowincję, prezydent Auriol wygłosił wielką mowę polityczną w Dijon. Francja znów wkraczała w okres przedwyborczy przed wrześniową zmianą Rady Republiki.

Na 1700 metrze od placu Concorde ruch Pól Elizejskich regulowany przenikliwym gwizdkiem policjantów, kończył się na Placu Gwiazdy. Silne reflektory otaczały Łuk Triumfalny, by przy uroczystych okazjach wyrwać nocy jego potężny masyw. Łuk był wciąż jeszcze w oplece rusztowań. Robotnicy w kombinezonach stali wysoko ponad dreptającym w dole wykwintnym tłumem, który ich nie dostrzegał, bo nie spoglądał w górę. Robotnicy doprowadzali do pierwotnego stanu Marsyliankę, poprawiali jakąś wolność, a to była żmudna robota i niełatwa. Na wewnętrznych ścianach Łuku nazwy bitew Napoleona oprowadzały po Europie. W centrum pod kopułą płonął nieprzerwanie znicz. Przy wieńcu z szarfą od księżniczki Elżbiety dla Nieznanego Żołnierza fotografowała się jakaś młoda Angielka. Ludzie przechodzili w ciszy i z odkrytymi głowami. Rosja daremnie starała się, by nie mnożyły się w przyszłości groby nieznanych żołnierzy, z których każdy posiadał nazwisko. Na płycie był prosty napis: „Tu spoczywa żołnierz francuski zmarły za Ojczyznę". Pod płytą tętniło metro.

Mariusz Margal

KORESPONDENCJA

W sprawie przedmowy do „Antologii walki"

Nakładem „Prasy Wojskowej" ukazała się „Antologia walki" opracowana przez Jerzego Laua i opatrzona przeze mnie krótką przedmową. W kilku miejscach tekst przedmowy uległ drobnym zniekształceniom, które nie naruszają wprawdzie sensu, ale w dwóch wypadkach rażą niepoprawnością. Str. 7, wiersz 2 od dołu: „...poezja, która z powszechnych uczuć dobywała tomy nadziei..." powinien brzmieć: „...poezja, która z powszechnych uczuć dobywała tonu nadziei..."

Jeszcze bardziej rażący zgrzyt wyłonił się na str. 8 wiersz 19: „...żołnierz... znał wiersze poetów, lubił je (sic) słuchać i nieraz sam je recytował." Zdanie to w moim tekście brzmiało: „...żołnierz... znał wiersze poetów, lubił je, nieraz sam je recytował." I wreszcie w wierszu ostatnim wyrażenie „nosiciel wizji" zastąpiono zwrotem: „żołnierz wizji". Nie wątpię, że te drobne zmiany poczyniono w najlepszej woli, ale nie chciałbym brać na swój rachunek cudzego roztargnienia, bo mam aż nadmiar własnego.

Adam Ważyk, Łódź

Do Redakcji „Dziś i Jutro"

W Numerze 24 „Dziś i Jutro" na str. 10 został wydrukowany list do redakcji w sprawie wydania dzieł Ś. P. Włodzimierza Pietrzaka. List ten jest podpisany moim imieniem i nazwiskiem. Ponieważ nigdy w tej sprawie listu do redakcji „Dziś i Jutro" nie pisałem, więc sądzę że nazwisko moje zostało przez redakcję „Dziś i Jutro" omyłkowo umieszczone i tą drogą, zwracam się do Redakcji „Dziś i Jutro" z prośbą o sprostowanie.

Paweł Herta

KSIĄŻKI NADESŁANE

Marian Rapalski: Nowy rok bieży (Jasełka w 3 odsłonach z 2 inscenizacjami). Nakł. Instytutu Wydawniczego „Sztuka", Warszawa 1947, str. 75.

Tadeusz Mayzner: Śpiewnik szkolny nal. 2 i 3 głosy równe. Nakł. Instytutu Wydawniczego „Sztuka", Warszawa 1947, str. 28, Zł. 100.—.

Jan Podkowa: Opowieść o wiośnie Ludów (Projekt wieczornicy świetlicowej). Nakł. Instytutu Wydawniczego „Sztuka", Warszawa 1948, str. 48.

Jerzy Zawieyski: Ocalenie Jakuba (Dramat w 3 aktach). Nakł. Instytutu Wydawniczego „Sztuka", Warszawa 1947, str. 62.

Stefan Szuman: Pochwała dyletantów. Nakł. Instytutu Wydawniczego „Sztuka", Warszawa 1947, str. 60.

Ksawery Pruszyński: Karabela z Mesched. (Opowiadania). Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Warszawa 1948 str. 296.

Erenburg Ilia: Wróciłem z USA. Tłum. I. Tarłowska i Z. Łubińska. Nakł. Sp. Wydawn. „Książka", Warszawa, 1948, str. 112, zł 160.—.

Fiedin Konstanty: Pierwsze poryw. Przełożył Strumph Wojtkiewicz. Nakł. Sp. Wydawn. „Książka" Warszawa. 1948, str. 412, zł. 450.—.

Krymow Jurys: Statek Derbent. Przekład Melanii Kiaczyńskiej. Nakł. Sp. Wydawn. „Książka", 1948, str. 304, zł 360.—.

Marks Karol: Krytyka programu gotajskiego (Biblioteka Klasyków Marksizmu). Sp. Wydawn. „Książka" Warszawa, 1948, str. 56, zł 50.—.

Nexö Marcin Andersen — „Ditta", Przekład J. Mondschein. Nakł. Sp. Wydawn. „Książka" Warszawa, 1948 str. 404 + 320, zł 800.—.

Słobodnik Włodzimierz: Mały bęben i wielki bęben. Nakł. Sp. Wydawn. „Książka" Warszawa. 1948 str. 36. zł 70.—.

Wygodzki Stanisław: Pamiętnik miłości. Nakł. Sp. Wydawn. „Książka" 1948, str. 58, zł 120.—.

Dryszkiewicz Alicja — Wędrówki po zwierzyńcu. Ilustracje H. Tomaszewskiego. Spółdz. Wyd. „Książka", Warszawa, 1948, str. 48, w oprawie zł 400.—.

Graba Tomasz: Bajka. Ilustracje E. Różańskiej. Spółdz. Wyd. „Książka", W-wa, 1948, str. 96, zł 250.—.

Lenin W. I. — Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej. (Biblioteka klasyków Marksizmu), wydanie III. Spółdz. Wyd. „Książka", W-wa, 1948, str. 144, zł 130.—.

Marks Karol — Płaca, cena i zysk. (Biblioteka Klasyków Marksizmu). Spółdz. Wyd. „Książka", W-wa, 1948, str. 76, zł 70.—.

PRZEGLĄD PRASY

W ostatnim numerze „Szpilek" Jan Szeląg w swoim felietonie krzywi się na literacką prasę periodyczną. W pierwszej licealnej klasie jednego z gimnazjów łódzkich, gdzie spędziłem godzinę na rozmowie z uczniami o literaturze, dowiedziałem się, że młodzież szkolna z wielkim zainteresowaniem czyta nasze tygodniki, od „Tygodnika Powszechnego" do „Kuźnicy". Tygodniki są dla tej młodzieży rodzajem podręcznika historii literatury współczesnej, stamtąd czerpią młodzi ludzie nieco wiedzy o kulturze zachodniej, stamtąd dowiadują się o sprawach teatru, muzyki i plastyki. W przyjacielskich rozmowach, które prowadziłem z uczniami pierwszej klasy licealnej, a więc z ludźmi należącymi do pierwszego pokolenia powojennego, mogłem stwierdzić, że właśnie dzięki prasie periodycznej młodzież uzyskuje przygotowanie do lektury dzieł współczesnych a także, co moim zdaniem jest najważniejsze, poznaje choćby pobieżnie przeszłość wielkiej literatury europejskiej, o czym w szkole średniej wciąż jeszcze za mało jest mowy, a bez czego pogląd na wartość literatury współczesnej może być tylko bardzo jednostronny.

Oto więc między zdaniem rutynowanego dziennikarza i opinią naszych braci młodszych jest wyraźna przepaść. Kto ma rację, czy Szeląg, który w tym wypadku złą oddał przysługę sprawie kultury w Polsce, jak zresztą każdy, kto kwestionuje dziś wartość wysiłku pisarzy i publicystów w dziedzinie informowania szerokich mas czytelników o sprawach kultury, czy też rację ma młodzież szkolna, która choć krytycznie ocenia poszczególne pozycje czasopiśmiennicze, zasadniczo jednak wyraża prasie literackiej votum zaufania? Wystąpienie Szeląga należy do cyklu utartych już wyrzekań na literaturę. Szeląg jest dziennikarzem i — przepraszam czytelnika za wprowadzanie elementu znajomości osobistej — wytrawnym publicystą. Szeląg widzi źdźbło w oku literatury, ale nie dostrzega belki pod zamkniętą powieką prasy codziennej, która na ogół podnosi się niechętnie, gdy mowa o sprawach sztuki. Powieka ta jednakże wznosi się chyżo, gdy rzecz idzie o polemikę osobistą, o plotkę literacką, czy też o dochody pisarzy. Przykładem takiej nazbyt czujnej uwagi może służyć choćby podwójne i za każdym razem nie na miejscu, wystąpienie „Głosu Ludu" i „Robotnika" w sprawie Jana Huszczy, z którym to wystąpieniem Szeląg nie omieszkał natychmiast się solidaryzować w imię tradycyjnej solidarności zawodowej, nie wnikając, jak by to należało uczynić i jemu i współpracownikom „Głosu Ludu" i „Robotnika" w słuszność zarzutów a zwłaszcza w słuszność metody. Moim zdaniem humoreska Huszczy nie godzi w dobre imię całego stanu dziennikarskiego.

Prasa codzienna zamiast podtrzymać pracę tygodników literackich, utrudnia ją, publikując teksty literackie często poniżej poziomu, obniżając poziom polemik i spraw literatury do niskiej skali plotki. Nie dzieje się tak wszędzie i tu należy wymienić, jak myślę te pisma codzienne, które w swoich dodatkach prowadzą politykę pomocy sprawie literatury i sztuki. „Robotnik", „Głos Ludu", łódzki „Głos Robotniczy", „Polska Zbrojna" starają się co tydzień okazać nam swoją pomoc. Niektóre redakcje usiłują nam przeszkadzać, tak czyni np. redaktor literackiego dodatku do „Dziennika Łódzkiego". Inne pisma, których znaczenie z uwagi na teren ich działania i liczbę czytelników jest olbrzymie, starają się robić co mogą. Oto fragment z listu, otrzymanego od literackiego redaktora „Trybuny Górnośląskiej" — „W dziedzinie upowszechnienia pewnych podstawowych wiadomości z literatury coś niecoś robimy... mamy do przezwyciężenia poważne trudności, z których sprawa braku odpowiedniego podręcznika historii lit. jest przeszkodą najpoważniejszą..."

W tych warunkach działalność „Wsi", „Nowin", „Kuźnicy", „Odrodzenia" nie może i nie powinna być traktowana z punktu widzenia rozrywkowego. Szeląga nudzi w pismach to, co interesuje moich młodych przyjaciół z pierwszej licealnej i czytelników prasy codziennej Być może — nie wszystkie numery nie wszystkich pism są pasjonujące (odnosi się to również do „Kuźnicy") być może nie zawsze czytelnik korzysta z tej lektury, być może — niekiedy pisma rzeczywiście są nudne i konformistyczne. Ale Szeląg-publicysta rozumiejąc te wszystkie sprawy, powinien pisać o tym wszystkim artykuły, a nie jako humorysta pisać w „Szpilkach" o tym, że pisma literackie są nudne, bo to nie jest prawda. Nie znam nakładu „Szpilek", ale przypuszczam, że bije on liczbowo nakład „Kuźnicy" czy „Odrodzenia". Znaczy to, że wielu z tych, którzy czytują „Szpilki" nie czytają pism literackich. Uwaga Szeląga napewno nie zachęci ich do lektury, ale przeciwnie — pozwoli takiemu niekrytycznemu czytelnikowi „Szpilek" odrzucić lekceważąco numery pism literackich, gdzie jak np. w bieżącym tygodniu mowa jest i o Tomaszu Jeżu („Wieś") i o roku 1848 na Śląsku („Nowiny") i o Lope de Vedze („Odrodzenie") i o Bielińskim („Kuźnica") i o Gogolu („Warszawa") itd. itd. Oto więc druga połowa tygodnia, w której tak nudzi się Szeląg, przeglądając pisma literackie, ukazujące się przeważnie od piątku do niedzieli, dla przeciętnego czytelnika jest rodzajem uniwersytetu domowego, którego działalności, jak sądzę, nie należy podrywać.

Dobry żart tynfa wart — mówi stare przysłowie. Sądzę więc, drogi Janie, że opinia o prasie literackiej wypowiedziana została właśnie dla tego tynfa. Ale ja za nią, a wraz ze mną liczni czytelnicy, nie dam nawet szeląga.

ph

Koty

Kiedy wybuchnie III wojna światowa?

Tym pytaniem zajmuje się większość naszej emigracji, ulegając histerii wojennej, którą rozpętała reakcja światowa z andersowską ekspozyturą na czele.

Mnożą się więc jak grzyby po deszczu wszelakiego rodzaju wróżbici i znachorzy rodzinnego i „made in USA" wyrobu, którzy wedle „różnych znaków na ziemi i na niebie" przepowiadają nadejście III wojny światowej. Ale znaleźli się już i tacy, którzy w sposób naukowy, matematyczny prawie — oznaczają datę wybuchu wyśnionej rzezi narodów. Do takich, głoszących „ex cathedra" w sposób „logiczny i perfekt „naukowy" należy p. Michał K. Pawlikowski, produkujący się na łamach londyńskiego „Dziś i Jutro".

Oto jak p. Pawlikowski rozwija swoją nader uczoną historiografię III wojny w w/w piśmie z dnia 2. 5. 48.

„Od tego czasu, tj. w ciągu ostatnich 150 lat mieliśmy 4 wojny światowe. Dwie ostatnie były światowymi w pełnym tego słowa znaczeniu. Dwie pierwsze mamy prawo nazwać światowymi, bo choć były lokalne z pozoru, to jednak wstrząsnęły podstawami równowagi i cywilizacji światowej. Mam na myśli: 1) cykl wojen napoleońskich, 2) wojnę francusko-pruską, 3) wojnę światową Nr. 1, 4) wojnę światową Nr 2. Czy zestawiając te cztery wojny potrafimy choć w przybliżeniu określić długość fali dziejowej, która sprawia, że wojna wybucha, a później wygasa? Spróbujmy. Uszeregujmy w kolumnę pionową daty, kiedy się te wojny skończyły, a obok liczby oznaczające w latach długość przerw między tymi datami:

1815	56
1871	47
1918	27
1945	...

Czy cyfry w kolumnie prawej coś mówią? Moim zdaniem — tak. Wskazują, że przerwy między wojnami „światowymi" mają tendencje do progresywnego kurczenia się: każda nowa wojna światowa wybucha prędzej niż jej poprzedniczka. Ten współczynnik przyspieszenia jest logicznie zrozumiały, jeżeli zważymy, że rozwój techniki podaża w susach conajmniej geometrycznych, co musi z konieczności odbić się na tempie życia zarówno jednostki jak i całego rodu ludzkiego."

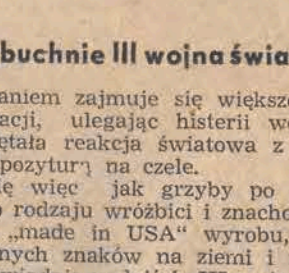

Po tej iście kabalistycznej ekwilibrystyce, autor dowodzi, że wojna nie wybuchnie jednak zaraz, choć tak by wynikało z prawa progresywnego kurczenia się przerw międzywojennych, gdyż:

„nowa wojna wybucha dopiero wtedy, gdy to pokolenie, a więc pokolenie, które przeszło na własnej skórze i w wieku „dorosłym" okropności poprzedniej wojny, wymiera, albo starzeje się, albo w inny sposób wychodzi z obiegu i traci wpływ na dynamikę nowego pokolenia. Długowieczność i siła witalna pokolenia wojennego jest więc pierwszym czynnikiem hamującym".

Aby jednak nie zasmucać biednych rodaków na emigracji, stęsknionych za wojenką, autor wyjaśnia rzecz dalej:

„Dlatego też zakładam, że przerwa między zakończeniem ostatniej wojny a zakończeniem najbliższej — trzeciej — potrwa conajmniej lat 20. (Jak czytelnicy widzą idę tu hojnie na rękę polskiej myśli politycznej i zakładam, że okres przerwy będzie trwał znacznie krócej niż okres „świadomego życia jednego pokolenia, bo tylko 20 lat). Konkluzja? III wojna światowa zakończy się w 1965 r. A na kiedy początek? Zważywszy, że wzajemne obrzucanie się atomówkami, lub innym świństwem — nie potrwa chyba dłużej niż lat pięć, nie mogę pomimo najszczerszych chęci iść dalej na rękę swym rodakom i stawiam diagnozę, że III wojna światowa wybuchnie **nie wcześniej** niż w roku 1960.

Bardzo nam przykro, że p. Pawlikowski pomimo najszczerszych chęci nie może zadość uczynić swoim rodakom i przesunąć terminu wybuchu wojny o parę lat wcześniej. Trudno, jak nie może to nie może! Przed żelaznymi prawami logiki i ścisłymi wywodami naukowymi p. Pawlikowskiego muszą skapitulować najbardziej zapalne umysły i zwolennikom III wojny nie pozostaje nic innego, jak czekać do roku 1960.

Panowie się niecierpliwią? Ale cóż, wyższa siła!

Ksawery Probołowski

Zbrodniarz wojenny jest premierem

Niemałe zdumienie wywołał fakt, że generał sir Brian Robertson, brytyjski gubernator wojskowy okupowanych Niemiec, odrzucił prośbę komisji polskiej o wydanie dra Wilhelma Heinricha Kopfa sądom polskim, celem osądzenia go za zbrodnie wojenne, popełnione podczas okupacji w Polsce.

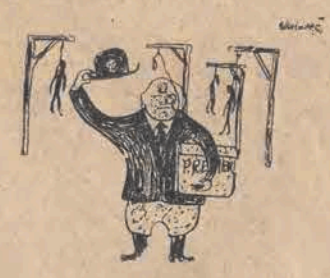

Dr. Kopf, zbrodniarz wojenny, cieszy się w chwili obecnej nie tylko zupełną swobodą, ale odgrywa nawet wybitną rolę w życiu wewnętrznym Niemiec, gdyż jest premierem rządu Dolnej Saksonii.

Szkoda, że Frank nie żyje, bo przy obecnym nastawieniu Anglosasów do Niemców miałby wiele szans, aby zostać premierem rządu zjednoczonych stref Niemiec zachodnich.

cr.

Pobłażliwość dla milionera

Dr. Max Wilmy był za czasów hitlerowskich wydawcą osławionego tygodnika antysemickiego „Der Stürmer", redagowanego przez Juliusza Streichera. W ramach procesów denazyfikacyjnych dr. Wilmy został pociągnięty przed trybunał w Furh (Bawaria). Sędziowie okazali wspaniałomyślną pobłaźliwość, skazując Wilmy'ego, podporę hitleryzmu na jeden rok robót specjalnych i konfiskatę połowy majątku.

Dr. Max Wilmy nie ma powodów do rozpaczy, gdyż — jak sam zeznał przed trybunałem — jego majątek, powstały dzięki wydawnictwu nazistowskiemu, wynosi w chwili obecnej 2.850.000 marek. Po odbyciu robót specjalnych będzie i tak milionerem.

cr.

Napływają nominacje na Ojca – Polaka 1948

Przed kilku dniami rozpoczeliśmy kampanię w celu wyboru Ojca-Polaka w Ameryce na rok 1948, tak samo jak wybraliśmy Matkę-Polkę, a już napływają nam aplikacje. Ażeby zdobyć to zaszczytne miano, trzeba mieć za sobą pewne zasługi, pracę położoną dla Polski i Ameryki, a takich naszych rodaków jest wielu. Trzeba ich odnaleźć, trzeba ich przedstawić radzie sędziów, którzy wybiorą Ojca Ameryki, Buflopole i ojców na poszczególne stany.

Przy wypełnieniu niżej podanej aplikacji prosimy dołączyć list i stwierdzić, ile nominowany na Ojca ma dzieci, czy bierze czynny udział w polskim życiu organizacyjnym, czy prowadzi dom w duchu religijnym polskim i wymienić należy szereg innych posiadanych przez niego zalet, któreby go upoważniały do tego zaszczytnego tytułu.

Aplikacje należy nadsyłać do 12 czerwca — nie później — i wystarczy jeden kupon nominacyjny. Decydować będzie nie ilość kuponów, lecz zalety danego Polaka jako ojca i Amerykanina polskiego pochodzenia. Przy nadsyłaniu kuponu nominacyjnego, prosimy koniecznie dołączyć list z opisem, jakoteż fotografię, która po wykorzystaniu zostanie zwrócona. Nominowani na ojców otrzymają piękne, cenne pamiątkowe nagrody.

Niniejszym mianuję . . . . . .
Adres . . . . . .
Miejscowość . . . . . .
Stan . . . . . .
Na Ojca Stanu . . . . . .

Kampania nominacyjna kończy się 12-go czerwca.

Kupon powyższy razem z fotografią prosimy przesłać na adres: Dziennik dla Wszystkich (Ojciec-Polak) 928 Broadway, Buffalo 12, New York, z dołączeniem dokładnego opisu podając zalety i kwalifikacje kandydata. Fotografie po wykorzystaniu zostaną odesłane.

Teoria absolutu i... zasiłki Ministerstwa Oświaty

Jak wiadomo w czasach Średniowiecza toczono „na poważnie" rozprawy o tym, ile diabłów lub aniołów może się zmieścić na końcu jednej szpilki. Zdawało się, że scholastyka wraz z astrologią, czy alchemią są dawno pogrzebane przez rozwój nauki. To jednak iluzja. Praca Benedykta Bornsteina — „Teoria absolutu — metafizyka jako nauka ścisła wydana w 1948 r. przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe — świadczy, że i w XX w. pozory uczoności służą do poparcia maniakalnych bredni „o bezpośredniej wizji boskiej istoty świata", czyli „ścisłej matematycznej teorii absolutu".

Udzielamy głosu autorowi. „Nasza metoda — powiada Bornstein — teoretycznego poznania dziedziny metafizycznej doprowadza nas w zasadzie do tego samego punktu ostatecznego, do którego ludzkość doszła już przed kilku tysiącami lat, kierowana wrodzonym jej bezpośrednio zmysłem religijno-metafizycznym". Cywilizacyjny rozwój człowieka, postęp myśli naukowej, zdobycze kultury — to okazuje się, są tylko pozory. Istotnym jest niezmienność absolutu sięgająca do metafizyczno-religijnego zmysłu człowieka prehistorycznego. Cały zaś dorobek wiedzy jest potrzebny po to, aby „z matematyczno - geometryczną" ścisłością poznać „nieprzestrzenną i niezmysłową" istotę absolutu.

Niech znów przemówi autor: „Nasza teoria absolutu w jego przejawach i rozwinięciach zawdzięcza swe istnienie wizji dziedziny absolutnej poprzez jakościową przestrzeń zmysłową, skondensowaną kategorialnie, odwzorowaną algebraicznie, uzupełnioną logicznie i zuniwersalizowaną ontologcznie. Korzystaliśmy z naszej zmysłowej intuicji jakości przestrzennych w jej sublimacji algebraicznej i filozoficznej, ażeby poznać dziedzinę nieprzestrzenną i niezmysłową". Inaczej mówiąc filozofia i logika matematyczna werbalnie potraktowana, by dojść w wyniku do... abrakadabry.

Teoria absolutnych zasad świata według Bornsteina łączy w sobie pierwiastki prazasad niemal wszystkich religii świata: egipskiej, perskiej, hinduskiej itd. W jej hipostazach jedności „jest również miejsce dla trójcy chrześcjańskiej... Trójca chrześcijańska jest rozwinięciem właściwego absolutu (najwyższej jedności).

130 stron druku autor zużytkował po to, aby metodą matematyczno-filozoficzną dojść do absolutu, który „przeczuwali pierwotni mędrcy, prorocy i wieszcze". Krąg się zamknął. Wieki kultury, twórczej myśli ludzkiej doprowadziły do tego, by jak syn marnotrawny wrócić do pierwotnego źródła swej niewiedzy. Książka Bornsteina, roszczaca sobie ambicje pracy naukowej, faktycznie jest apoteozą prymitywizmu myślowego, zabarwionego mistycyzmem. Na świecie są coprawda różne dziwactwa. Ale ciekawi nas pytanie Czy jesteśmy aż tak bogaci i zasobni w dobre książki naukowe, aby Min. Oświaty udzielało swych funduszów na szerzenie pseudo-naukowych teorii uzasadniających obskurantyzm. Praca Bornsteina, jak zaznaczono na okładce, została wydana z „zasiłku Ministerstwa Oświaty".

i. s.

Architektura i intuicja

W ostatnim numerze „Architektury" (miesięcznik S.A.R.P. wydawany z funduszów Ministerstwa Kultury i Sztuki, Nr. 1/1948) inż. Stefan Putowski zamieszcza krytykę projektu prof. Bohdana Pniewskiego na gmach Ministerstwa Komunikacji w Warszawie, gdzie m. in. zwracając uwagę na doskonałe proporcje projektowanego budynku, pisze:

„Przekrój tego „wieżowca" przez wyszukany podział pionowy cofających się ku górze partii ścian, daje linię sylwety pozbawioną wszelkiej banalności i łatwizny. Doskonała ta linia jest nie tylko wykresem równania algebraicznego, lecz także płodem nieomylnej intuicji plastycznej. Analiza pomników architektury wszystkich czasów wskazuje, że obie drogi matematyczna i intuicyjna pokrywają się z sobą, dając najlepsze osiągnięcia statyczne".

Nie wdaję się w ocenę omawianego projektu. Chodzi mi o metody krytyki. Przypuśćmy, że pojęcie „wykres algebraiczny" zastąpimy pojęciem „funkcja matematyczna" (bo o to prawdopodobnie chodziło autorowi). Otóż zobowiązuję się podać funkcje matematyczne, których wykresem będą obrysy wszystkich wyszukanie ohydnych budynków, które przez ten fakt nic na wartości plastycznej nie zyskają.

Rozważanie o pokrywaniu się dróg matematycznej z intuicyjną nie wytrzymuje krytyki. Poszukajmy faktów z historii. Znamy dużo wypadków zawalania się najlepszych pomników architektury tylko dlatego, że zbyt wiele zawdzięczały „intuicji statycznej" twórców.

Los ten spotkał wiele katedr gotyckich jak Chartres i Beauvais.

Okres ten był szczególnie pod tym względem urodzajny lecz bynajmniej nie odosobniony. *Bramante, wielki architekt odrodzenia*, sporządził niewykonany zresztą projekt Bazyliki św. Piotra w Rzymie. Skądinąd wiadomo, że kościół zawaliłby się niechybnie z powodu zbyt intuicyjnych filarów niosących kopułę. To samo dotyczy Campanilli na placu św. Marka w Wenecji, która runęła tylko dlatego, że fundamenty były zbyt słabe.

Czyż trzeba koniecznie słyszeć grzmot walących się sklepień abyś dojść do wniosku, że z tym pokrywaniem się dróg matematycznej z intuicyjną nie zawsze było tak różowo?

Nie o to zresztą chodzi.

Tekst całej krytyki w skrócie, a słowo w słowo, jeśli chodzi o najbardziej drażliwe miejsca, tłumaczony jest w trzech językach: angielskim, rosyjskim i francuskim.

Zeszyt idzie więc za granicę.

Można nie słyszeć łoskotu walących się sklepień katedr, bo to się działo bardzo dawno.

Śmiech z zagranicy będzie współczesny i możemy go przypadkiem usłyszeć.

Janusz Ballenstedt

Zasługi wydawców

Nie wiem, czy są to zasługi, bo wydawnictwo tanich i dobrych książek jest właściwie obowiązkiem i dlatego zastanawiam się, czy nie należałoby zmienić tytułu mojej rubryki. Ale ponieważ obowiązki mogą być wypełniane rzetelnie i nierzetelnie, starannie i niestarannie, więc rzetelne i staranne wykonanie obowiązku należy uważać za zasługę. Tytuł więc pozostanie niezmieniony.

Państwowy Instytut Wydawniczy wydał cztery książeczki nowel Sienkiewicza: „Janko muzykant", „Latarnik" — cena zł 35. „Bartek Zwycięzca" — cena zł 55. „Wspomnienie z Maripozy" — cena zł 25. „Za chlebem" — cena zł 70.— Oczywista zasługa.

„Książka" w ramach „Biblioteki pisarzy polskich" wznowiła „Na przełęczy" Stanisława Witkiewicza.

Biblioteka Narodowa wznowiła Felińskiego „Barbarę Radziwiłłównę" oraz „Kordiana" Słowackiego.

W ten sposób przez coraz to szybszą i tanio skalkulowaną edycję dzieł klasyków, zostanie wypełniony pierwszy i najważniejszy punkt programu upowszechnienia kultury. Będzie co upowszechniać. I na tym właśnie polega zasługa wydawców pokrywająca się całkowicie z ich obowiązkiem.

ph.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik"
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr. 96 — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpaltę 40 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960,—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy".
D—124396 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.